GROŹNY



KAPITAN

GROŹNY KAPITAN

2

JERZY SZARECKI

GROŹNY KAPITAN

WARSZAWA
BIBLJOTEKA GROSZOWA

BIBLJOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE
REDAKTOR STANISŁAW MIKOŁAJ ŁUBA
WYDAWCA BIBLJOTEKA GROSZOWA
Warszawa, ul. Moniuszki 11. Konto w P. K. O. 11.140.

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95.
a w oprawach . . . . „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja Bibljoteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Ś-go Rocha 3.

GROŹNY KAPITAN

Tam, gdzie szumią niedościgłe skrzydła potężnych czarnych orłów, z wyżyn wypatrujących ofiary, gdzie wiatr huczy w załamach skalnych, mieszając swe szmery z sykiem złości kłębowisk żmij, tam, skąd roztacza się widok na rozległe spienione lazury wód morza, na szczycie dzikiej, niebotycznej góry Ałczaku mieszka pustelnik.

Od lat już tu żyje sam, nie widząc twarzy ludzkiej, nie słysząc głosu ludzkiego. I pragnie on ujrzeć twarz ludzką, usłyszeć głos człowieka i boi się jednocześnie, aby to oblicze ludzkie, które się ukaże może dnia pewnego wśród załamów skalnych jego siedziby, nie miało w sobie wyrazu słabości, aby w oczach przybysza nie odmalował się lęk, gdy ujrzy pod sobą dziką postać starca—pustelnika, boi się, aby pierwszy głos ludzki, jaki usłyszy po raz pierwszy od lat wielu, nie był okrzykiem trwogi, nie był wezwaniem ratunku.

Ale myśl ta, zła i lękliwa, pod naporem żelaznej logiki umysłu starca ustępuje z głowy, jak pod naporem zimnych, groźnych błysków jego stalowych oczu ustępuje mu z drogi zuchwała żmija.

Ten, kto dostanie się na szczyt Ałczaku, nie najwyższej, ale najdzikszej góry wśród gór Krymskich, nie może być człowiekiem lękliwym. I głupim nie będzie. Któż zapragnąć może wdrapać się z narażeniem życia na te wyżyny? Czyżby przestepca, uchodzący przed karzącą ręką sprawiedliwości? Czyżby turysta, wrażeń szukający po świecie? Nie. Zbrodniarz, kryjący się w górach przed karą śmierci, boi się śmierci i szuka kryjówek bezpiecznych, i droga do nich musi być dla niego bezpieczna. Czyż droga na szczyt Ałczaku jest bezpieczna? Albo czyż wrażeń, ale nie śmierci żądny turysta odważy się ukazać tutaj swą twarz bezmyślną, na której byłaby ciekawość wraz z lękiem rozlana? Nie, po stokroć nie! Człowiek, który odnajdzie go tutaj, będzie takim, na jakiego czeka on już od lat wielu.

Samotnik jakiś, mędrzec, który posiadł już dwa największe skarby świata: siłę ducha i mądrość, może zechcieć osiedlić się tutaj, nie mając już żadnego celu w życiu, a pragnąc tylko samotności, obcowania z samym sobą, nie z ludźmi, których prześcignął myślą swoją i którzy go tylko towarzystwem swem wypaczyć i cofnąć mogą w rozwoju ducha.

Człowiek przyjdzie, nieustraszony, który osiągnął już wszystko, co mógł osiągnąć, który już nic od życia nie pragnie, a więc nie boi się końca jego, nie boi się śmierci.

Czyż nie jest odważnym człowiek, co się śmierci nie boi?

Odważnym więc będzie ten przybysz i mądrym.

A gdy zjawi się tu u niego, wówczas pustelnik pokaże mu te papiery, schowane pod głazem, po-

każe mu napis, na ścianie skalnej ręką jego wyryty, i umrze wtedy spokojnie, pewny, że wielkie dzieło, rozpoczęte przez niego, do końca przez następcę doprowadzone zostanie.

Czyż ustoi człowiek rozumny, mędrzec, przed pragnieniem dokonania tego, co mu umierający pustelnik przed śmiercią swą dokonać nakaże? Czyż nie spełni ostatniej jego woli? Czyż nie uzna celu jego życia całego za cel godny i siebie?

Cel, do którego droga tak jest miła dla człowieka mądrego!

Droga, w czasie przebywania której będzie on ciągle samotny wśród tłumów ludzi, samotny, zamknięty w sobie wraz z myślą genjalną, potężną, którą mu umierający w spuściźnie zostawi!

Przyjdzie taki człowiek i dokona tego, na co już jemu, umierającemu pustelnikowi, sił i czasu zabrakło.

Obłąkane i straszne oczy ma ten starzec, wśród orłów, żmij i wichrów górskich żyjący. Obłąkany ich wyraz znika tylko wtedy, gdy pustelnik, wybrawszy z sideł pojmaną zwierzynę górską, siada na skraju przepaści i, wzrok swój w dal morską kierując, rozmyśla o dziejach swego życia.

Nie wie starzec, gdzie się urodził, kto był jego ojcem, kto matką. Osłabła już pamięć, osłabła od pewnego momentu życia, i myśl jego, potężna ongiś, której porywy, przyobleczone w formę rozkazu, stanowiły prawa dla garstki ludzi, rzuconych losem pod jego władzę, zmieniały się dla nich w życie lub śmierć.

A może nie osłabły myśli jego, tylko nurt swój rwący nagle zmieniły, potoczyły się innem korytem

w krainę zapomnienia. Tylko jedna myśl, z którą, zda się, urodził, pozostała niezmiennie tą samą, Opadły tylko i zginęły gdzieś myśli, z tej pierwszej myśli zrodzone. Zginęły, zginęły bezpowrotnie.

Gdzieś powstała ta myśl pierwsza, która, zda się, istniała jeszcze przed przyjściem jego na świat, która wtargnęła do główki dziecięcej, jeszcze przy piersi matczynej będącej, i czekała tylko na pierwszy błysk świadomości, by ukazać się oczom duszy jego w swej majestatycznej, potężnej postaci?

Czy rosła, krzepła i potężniała wsród odgłosów uderzeń kilofów, wśród jęków jakichś i przekleństw, wśród brzęku bolesnego łańcuchów, z którym kojarzy się w duszy jego wspomnienie twarzy jakiejś wąsatej, łzami zalanej, lecz o wzroku płomiennym, czy kołysana była szeptem modlitw kobiety, która go ongiś na kolanach trzymała wśród tych hałasów młotów, w skałę bijących, czy później wśród poświstu wichrów morskich przybrała ona swoje wyraźne oblicze—nie pamięta.

Niewiele pamięta starzec z tego okresu swego życia, który pełen był tych odgłosów uderzeń kilofa, w twardą skałę bijących. Dla niego te dźwięki miały jeden dźwięk tylko, którego odpowiednikiem w mowie ludzkiej jest wyraz: Ojczyzna.

Lecz gdy wyszedł któregoś dnia z ciemności, gdzie już przestały brzęczeć łańcuchy, znieruchomiałe na zimnych rękach, i gdzie już nie powtarzało echo wśród wilgotnych skalnych ścian modlitw, na sinych wargach zamarłych, gdy wyszedł na piękny, jasny świat, nie wiedział nawet, z jaką postacią ziemi ten wyraz „Ojczyzna" połączyć. Wiedział, że jest to

gdzieś tam daleko, gdzie szumią stalowo-szare fale Bałtyku, gdzie ludzie odmawiają takie same modlitwy, które słyszał tam w ciemnościach z ust tej kot biety, która go na kolanach trzymała, ale gdzie jes- dokładnie ta ziemia, jak wygląda i jak do niej się dostać, nie wiedział.

Zatarł się w pamięci jego ten okres czasu, który dzielił życie jego wśród grzmotów kilofów od tej chwili, gdy zaśpiewały mu w uszach wichry morskie i zaszumiały fale. Miał już wtedy lat dwadzieścia, gdy stojąc w Odesie na stopniach schodów Riszeljowskich i obejmując stęsknionem spojrzeniem bezmiary wód morza Czarnego, poczuł potężny poryw myśli, co się zrodziła tam w tem piekle, z którego wydarł się wreszcie.

Wielka to była myśl, z miljona różnych się składająca. A podstawą, fundamentem niezłomnym tej myśli było przekonanie, wpojone w niego tam w tym mroku słowami, powtarzającemi się tak samo często, jak uderzenia kilofów, że Ojczyzna nie zginie, że zrzuci okowy i znów będzie wolna.

I pod akompanjament wichrów morskich i ryku fal wzrastała, coraz wspanialszą i potężniejszą się czyniła myśl. Gdy tam daleko, nad brzegami zimnego Bałtyku inni wywalczać będą wolność Ojczyznie, on tutaj w skwarze słońca południa wykuwać będzie tej ojczyznie potęgę, aby dźwignąwszy się z wiekowego snu, odrazu silną i mocarną się stała.

Jak dokonać tego, nie wiedział jeszcze. W pierwotnym, nieokrzesanym jeszcze jego umyśle zaświtała myśl, że dla dokonania dzieła jest potrzebne narzędzie, a narzędzia jeszcze nie było, był zaledwie surowy

materjał na to narzędzie, a surowcem tym był on. Trzeba zatem uczynić z siebie narzędzie, zdolne do dokonania dzieła. Narzędzie z dwóch elementów składać się musi: z ducha, potężnego, niezłomnego, i z mądrości.

Postanowił zdobyć jedno i drugie. I oto po pięciu latach włóczęgi po wszystkich oceanach i morzach świata, gdy wola jego w walce z żywiołami stężała jak głaz, a myśl, ćwiczona książkami, połykanemi w chwilach wolnych od służby na pokładzie, stała się giętką i elastyczną jak klinga szpady, uznał, że narzędzie jest gotowe do pracy. Po tych pięciu latach rozmyślań doszedł do przekonania, że środkiem dla osiągnięcia głównego celu jest złoto. Złoto, którego czarodziejskie własności i wszechmoc już poznał. Postanowił tedy zdobyć złoto. Wszystko jedno, jaką drogą — wszak cel uświęca środki.

Na tej myśli urywa się łańcuch wspomnień pustelnika. Poszarpane, zniszczone jego ogniwa składają się na wizję jakiegoś ciemnego, głuchego zaułku, w którym zimnym blaskiem zalśniła stal i zaraz zgasła, powlekłszy się purpurą wilgoci, a w nieprzebitych mrokach i ciszy nocy rozległ się szelest pieniędzy.

Później wspomnienia stają się wyraźniejsze, trwalsze, obrazy z przeszłości są jaskrawe, ostro odbijają się od zdarzeń, które były przedtem i potem.

„Groźny Kapitan" — to imię, pod jakiem go znano we wszystkich portach morza Czarnego. Przydomek ten otrzymał już jako szyper własnego okrętu, barki, która grasowała po wszystkich wodach świata. Jakie było przeznaczenie tego okrętu? Han-

del. W dokumentach okrętowych „Krym“ figurował jako statek handlowy, a na bezanmaszcie jego powiewała bandera rosyjska. Innego o tem byli zdania celnicy rosyjscy i w głębi duszy przekonani byli, że „Krym“ wozi kontrabandę. Ale głośno nie powiedział tego żaden — wszechmogące złoto, zdobyte i zdobywane wciąż przez groźnego kapitana, czyniło ich ślepymi, głuchymi i niemowami. Milczeli. Milczała i policja portowa, gdy dochodziły ją wieści, że statek jakiś, do „Krymu“ podobny, napada i rabuje na pełnem morzu statki pasażerskie i handlowe.

Minęło jeszcze lat kilka, i gdy pod rozkazami groźnego kapitana pływały już trzy okręty, trudniące się kontrabandą i korsarstwem, dnia pewnego aparat iskrowy na „Krymie“ otrzymał wiadomość o wielkich zaburzeniach, które wstrząsnęły olbrzymiem imperjum rosyjskiem.

Statek przepływał wtedy koło Sebastopola. I gdy groźny kapitan po otrzymaniu wiadomości o niepokojących rozruchach w stolicy Rosji na tle wojny rosyjsko-japońskiej wyszedł na pokład, brzeg krymski znikał już za widnokręgiem.

Wbił oczy w niknącą linję brzegu i myślał o zmianach, jakie wprowadzi rewolucja w jego plany. Toczyły się fale, rozpryskując się koło burt okrętu, toczyły się wolno w głowie jego potężne myśli, rozpryskując się w tysiące projektów.

I wtedy miał widzenie: Nad dalekim brzegiem Krymu nakształt tęczy rozwinęła się przed oczami jego czerwono-biała bandera, a na białem jej polu połyskiwał złoty półksiężyc. Zadrżał. Przyszło nareszcie to, na co czekał już od lat tylu. Przyszła ta myśl,

która starym myślom jego nadała określoną barwę i wyraźny kształt.

Twarz ukrył w dłoniach, a pod zamkniętemi powiekami jego przelatywały błyskawicznie wizje tego, co będzie.

...Powstanie Tatarów krymskich, podburzonych przez niego i pod jego wodzą... złoto, złoto ono wszystkiego dokaże... walki z wojskami rosyjskiemi... zwycięstwo nad niemi...

A następnie, gdy już nad murami Sebastopola rozwinie zielony sztandar proroka — unja, unja z wolną już wtedy i niepodległą ojczyzną z nad brzegów Bałtyku.

Czy zechcą Tatarzy? Ach, zechcą, zechcą, tradycje dawne wiążą ich z jego ojczyzną, a zresztą sami jako państwo istnieć nie będą mogli.

A gdy nie zechcą, to złoto przełamie ich opór. To złoto, które zgromadził już w wielkich ilościach na dnie morza, w miejscu, tylko jemu wiadomem.

Złoto dokona wszystkiego. Jakże potężną będzie jego ojczyzna, gdy rozciągnie się na olbrzymiej połaci ziemi od chmurnego Bałtyku do lazuru wód morza Czarnego. Potężna będzie wtedy ta ojczyzna, której on jeszcze nie zna. Potężna i wolna...

Znikły wizje, znikł brzeg z przed jego oczu, lecz myśl i postanowienie zostało: Krym należeć będzie do jego ojczyzny.

Znów minęły lata, i oto nastał dzień, w którym zaszło to, co było przyczyną zdarzeń, które zniweczyły dzieło jego życia.

Starzec dobrze pamięta ten dzień.

Zaczął się dzień ten od rumoru łańcuchów kot-

wicznych, których łapy zaryły się w piasek dna przy brzegach krymskich nawprost małej tatarskiej wioski Sudagu, tulącej się do podnóża gór. O wiorst parę wyżej od wioski przyczepiły się w górach do stromej skały ruiny starej tureckiej fortecy. Wśród złomów kamieni, starych murów, krętych krużganków, baszt i ciemnych lochów składał groźny kapitan drogie towary, które przemycał z Turcji.

Na grzbietach pienistych fal, które toczyły się po lazurach wód zatoki cesarskiej, mknęła szalupa, niosąc groźnego kapitana do brzegu.

Wiosła błyskawicznym rzutem odchylały się wprzód i długiem, potężnem posunięciem, zginającem ich pióra, pchały szalupę przed siebie.

— Wiosłować jeszcze nie umiecie, psiekrwie — mruknął groźny kapitan, spoglądając na zegarek — już od pół godziny tak wodę mącicie, a brzeg jak był daleko, tak jest. Prędzej!

Jak trzciny wygięły się pióra wioseł, i szalupa, skacząc z fali na falę, zaryła się dziobem w piasek brzegu u wejścia do groty księcia Galicyna.

Wślad za pierwszą szalupą przybiła druga, trzecia i czwarta, pełne kontrabandy. Załogi ich wzięły towar na plecy i piąć się zaczęły pod górę wzwyż, gdzie od błękitu nieba odcinały się poszarpane linje ruin tureckiej fortecy. Tam już czekali odbiorcy z tragarzami, a o pół wiorsty w głąb lądu, na krętej górskiej drodze warczały motory ciężarowych samochodów.

U wejścia do ruin powitał groźnego kapitana odbiorca żyd.

— Aloha — rzekł kapitan, nie wyciągając ręki — — towar jest, dawaj złoto.

Żyd wyciągnął portfel z pieniędzmi. Ruch ręki kapitana powstrzymał w drodze pugilares.

— Nie. To nie idzie — rzekł — dawaj złoto.

— To ma taką samą wartość, jak złoto — sprzeciwił się odbiorca.

— Nie gadaj dużo — rzucił ostro korsarz — papier jest zawsze mniej wart od metalu. Zresztą umówiłem się z tobą, że za towar legalny brać będę papierki, a za kontrabandę złoto. Ten towar jest kontrabandą, a więc dawaj złoto. I prędzej! Czasu nie mam. Odkotwiczam się zaraz.

— Tak trudno już teraz o złoto od czasu rozpoczęcia wojny — jęczał żyd. — Nie mam zupełnie złota.

Oczy groźnego kapitana zalśniły połyskiem stali.

— Ty! — krzyknął głosem, w którym twardo zadźwięczał metal—gadaj rozsądnie, sami z sobą jesteśmy — ja i moi marynarze i ty z tragarzami swymi — poza tem niema nikogo, ktoby mógł donieść! Zobowiązań nie dotrzymujesz? Drwisz sobie ze mnie czy co? Com ci obiecywał wtedy zrobić, jeśli nie dotrzymasz kiedy umowy? Co? Więc chcesz już teraz? Życie ci już obrzydło, sobaczy synu? Co?

Brzęknął woreczek złotych rubli, przechodząc z ręki żyda do rąk korsarza.

Rzucił pieniądze w ręce jednego z marynarzy.

— Jedźcie na statek — rzucił krótko — pieniądze położyć na stole w kajut-kampanji. Przygotować windy kotwiczne. Za godzinę wrócę, i zaraz ruszymy. Iść już!

Znikli marynarze, podążywszy do czekających szalup. Znikli za chwil parę i tragarze, a w jakiś czas później warkot oddalających się samochodów ciężarowych dał znać groźnemu kapitanowi, że został sam jeden wśród ruin.

Usiadł na jakimś kamieniu i wzrokiem potoczył dokoła.

Cudny roztaczał się przed nim widok. Pod stopami jego na dnie urwiska wszystkiemi odcieniami lazuru mieniła się zatoka księcia Galicyna, dalej, kędy świetlisty kolor wód przechodził w miarę oddalenia w lekką siność, a później w czerń nieszlifowanego diamentu, błyskały w gorących, kolorami tęczy się mieniących promieniach południowego słońca białe piany grzbietów toczących się fal. Ztyłu i boków wznosiły się majestatycznie poszarpane dziko wierzchołki gór, przechodząc w szeregach łańcuchów w głąb lądu, gdzie biegły za niemi, świecąc jasną zielenią winnic, długie, ciasne wąwozy.

U góry rozlewał się błękit, tak czysty i przejrzysty, że wzrok wciągał w siebie i gnał go gdzieś w podniebną dal, hen—za prażące słońce i za tę granicę, której nikt z ludzi przejrzeć nie zdoła...

— Ładny prezent dostanie ojczyzna ode mnie — mruknął groźny kapitan, przykrywszy oczy powiekami od promieni gorącego słońca.

Raptem szmer jakiś doleciał jego uszu. Zwrócił głowę w kierunku, skąd go posłyszał. Tam poruszały się niespokojnie gałęzie krzaków, wśród ruin rosnących, jakby ludzką trącane ręką. Dłonią ujął kolbę mauzera w kieszeni. Czekał. Spodziewał się lada chwila ujrzeć w zaroślach niską baranią czapkę z ko-

kardą portowego żandarma, nasuniętą na twarz, o chytrych, badawczych ślepiach.

Za chwilę brzęknie tu złoto, co ślepym uczyni żandarma na cały dzień dzisiejszy, lub trzaśnie suchy strzał, po którym chytre, badawcze ślepia już nigdy nic nie zobaczą.

Gałązki krzaków drgały już w odległości zaledwie kilku kroków od miejsca, gdzie siedział korsarz. W kieszeni jego głucho szczęknął bezpiecznik mauzera.

Rozsunęła się ostatnia zapora gałęzi, i przed groźnym kapitanem stanęła urodziwa dziewczyna.

— Dzieńdobry — rzekła z uśmiechem.

Korsarz zdumionym wzrokiem objął jej postać.

Wysoka, szczupła, o czarnych włosach i oczach, osadzonych na matowego koloru twarzy, była typowym okazem zanikającej już powoli piękności niewiast greckich.

Dużo kobiet widział w swem bogatem życiu groźny kapitan, ale żadna tak odrazu i gwałtownie nie przykuła do siebie jego uwagi, jak ta.

— Dzieńdobry — odpowiedział po chwili — co tu robisz, dziewczyno?

— Co robię? — zaśmiała się wesoło — podsłuchuję pańskich rozmów o kontrabandzie! Słyszałam wszystko, wiem już, za co pan bierze papierowe pieniądze, a za co złoto. Ale w kieszeniach pańskich samo złoto chyba brzęczeć musi. Czyżby się panu chciało trudnić przewożeniem towarów? Bo...

Urwała nagle i zuchwale zajrzała w jego surowe źrenice.

— Wiem wszystko — powtórzyła raz jeszcze uparcie.

W jedną groźną linię nad oczami zeszły się czarne krzaczaste brwi korsarza.

— Nie drwij sobie ze mnie, dziewczyno! — rzucił ostro — młoda jeszcze jesteś, szkoda ciebie. Po co paplesz bez sensu?

— Nie boję się śmierci — rzuciła gwałtownie — lecz i bez pogróżek paplać nie będę, jeśli... jeśli mi dasz coś!

Rękę zanurzył w kieszeni, rublami brzęczącej.

Odwróciła się ze wzgardą.

— Nie jestem żandarmem — wycedziła powoli.

— Cóż więc chcesz ode mnie — zdumiał się groźny kapitan.

Oczy Greczynki spoczęły, ciepłe i uśmiechnięte, na jego twarzy.

— Daj mi... daj mi... całusa! — krzyknęła i parsknęła głośnym śmiechem.

Wybuchnął śmiechem i groźny kapitan.

— Co ty wygadujesz, dziewczyno?! — zawołał — nie całuję kobiet, wywietrzały mi już z głowy te głupstwa!

— Nie całowałeś nigdy? — spytała, a w oczach jej odmalowało się niekłamane zdumienie.

— Ach, kiedyś, kiedyś, gdy jeszcze bardzo młody byłem — wyrzekł powoli.

Znów się zaśmiała.

— Teraz to cóż? Stary jesteś czy co? Ile masz lat?

— Trzydzieści pięć — odparł korsarz — ale stary już jestem, nie ciałem wprawdzie, lecz duchem.

— Ach, co mnie tam twój duch obchodzi — zawołała dziewczyna — wyglądasz młodo i pięknie, i to mi wystarcza.

— Hm... tak — mruknął groźny kapitan, wstając z kamienia — czas już na mnie, bądź zdrowa!

— Odchodzisz już?—zastąpiła mu drogę.

— Tak—odparł—muszę wracać na statek.

— I nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

— Znajdź sobie kogo innego — uśmiechnął się drwiąco—ja nie mam czasu na romanse.

— Nie chcę kogo innego!—krzyknęła dziewczyna, a w oczach jej błysnęły łzy.—Nie chcę kogo innego!

— Dlaczego? Tylu jest piękniejszych mężczyzn ode mnie.—Dlaczegóż koniecznie mnie zdobyć zachciało się tobie?

— Dlatego, że cię kocham?--wybuchnęła płaczem Greczynka, rzucając się na szyję korsarza.

Znieruchomiał groźny kapitan. Swe oczy stalowe, mgłą zadumy znagła objęte, wbił w dal morską.

I póki Greczynka, zalewając się łzami, pokrywała gwałtownie pocałunkami potężną pierś jego, w głowie korsarza z szybkością błyskawicy przelatywały wspomnienia z lat dawnych.

Czy kochał kiedy? Czy jego miłością darzono? Czy odgrywały kobiety jaką rolę w jego życiu?

Przed owym pierwszym błyskiem noża w jego ręku miał dużo kobiet. Lubiły go. Zachwycały się orlą twarzą, wzrokiem hardym, nieustępliwym, szalały za jego żelaznemi mięśniami. Pamięta. Pamięta te różne karczmy, oberże i szynki, gdzie wśród rozlewnych dźwięków harmonji unosiły go w wirze tańca kobiece ramiona. Pamięta i te szały nocy, bia-

łych, bezsennych, gdy na strunach namiętności jego duszy grały nerwowe palce niewieście, pieszczot brutalnych niesyte. Pamięta, pamięta te noce szalone, z objęć których wyrywała go myśl jego, silniejsza nad wszystko i do czynu mocnego pchająca. Czy kochały go te kobiety? Nie, zapewne. Pożądały tylko jego pieszczot męskich, uścisków ramion potężnych, od których dech w ich piersiach rozkosznie i z lękiem zamierał. Może i wryło się głębiej trochę w pamięć której z tych bachantek jego orle oblicze, władczy głos, ruch ramion potężny, ale w jego duszy twarze wszystkich tych kobiet zlały się w jeden koszmarny obraz dusznej, ciemnej, grzmiącej dźwiękami orgji nocy, których od momentu tego, gdy zdecydowanie do czynu się porwał, nie wywoływał nigdy z przeszłości.

Usunął kobiety z życia swego. Nie chciał wiedzieć i nie wiedział już, że istniały na świecie.

Czemuż rozrzewniły go tak nagle te cudne czarne oczy Greczynki, łez pełne, błagalnie na niego zwrócone?

Czemuż wzrusza go ta główka dziewczęca, na piersi jego złożona?

Może poruszyły się i odżyły najtajniejsze głębiny jego duszy, przez długie lata obumarłe, zabite jednem pragnieniem, pragnieniem dopięcia celu, który za cel życia sobie postawił.

Westchnął. Dłonią swą twardą łagodnie pogładził główkę dziewczęcia.

— Jakżeż się to stać mogło?—spytał miękko.— Widzimy się przecież po raz pierwszy w życiu.

Głosem przerywanym od płaczu zaczęła mówić dziewczyna.

Samotna i zamknięta w sobie była od lat swych najmłodszych. Ujście swej bujnej, żywej naturze dawała tylko w gronie przyjaciółek. Stroniła od mężczyzn. Nudzili ją i zrażali jedni niezdarnością swoją, niegodzącą się z pojęciem idealnego mężczyzny, jakie sobie urobiła, drudzy—chełpliwością swoją, pod którą fałszywą, sztuczną tylko dzielność męską widziała. Brzydziła się tym tłumem mężczyzn, który ją otaczał i pukał bezskutecznie do jej serca. Wolała przebywać w krainie marzeń, w której żył zrodzony wyobraźnią jej bajeczny rycerz jakiś, u stóp którego swą miłość składała.

Lata całe żyła z tą wizją świetlanej postaci bohatera swych snów dziewiczych, kochając się w niej i cienia nadziei nawet nie mając, by marzenie to złudne kształt rzeczywisty przybrało.

I oto dnia któregoś po wybrzeżu czarnomorskiem błyskawiczna wieść przeleciała o jakimś „groźnym kapitanie", korsarzu nieustraszonym, grasującym po morzach południa. Promienie sławy oświetlały jego postać. Silny, rozumny, nieustraszony—żeglował po lazurach wód morza Czarnego, na skrzydłach wiatru, pędzącego biały okręt jego, przelatywał obok bogatych statków kupieckich, napęczniałych od złota, i spadał na nie jak piorun, jak potężny, drapieżny orzeł górski. Grabił tylko bogate okręty, biednym krzywdy nie czynił. Głosiła wieść, że piękności jest niezwykłej i dzikiej, a postacią przypomina korsarzy z przed wieków, którzy wyginęli już wszyscy.

Pilnie słuchała tych wieści romantyczna dziew-

czyna, i powoli świetlisty obraz rycerza, żyjący w jej duszy, nabierać zaczął kształtów mocarnych korsarza, który grasował przy jej ojczystych wybrzeżach.

I od chwili, gdy jej bajeczny kochanek nabrał cech rzeczywistych i z wyżyn marzenia spłynął do niej w blaskach sławy junackiej na ziemię między ludzi śmiertelnych, pokochała go jeszcze bardziej. A z myślą, że on jest tutaj, gdzie ona, że oddycha tem samem powietrzem i że to samo słońce mu przyświeca, którego promienie i ją grzeją, zjawiło się pragnienie ujrzenia bożyszcza snów swoich.

I czekała czas długi, oczy wypatrywała, wzrok tęskny kierując na morze, czy nie ukażą się na widnokręgu białe żagle okrętu kochanka jej marzeń.

I oto nareszcie zjawił się on, ten rycerz z bajki czarownej, i tuli ją we łzach szczęścia tonącą w swych potężnych ramionach...

Długi, tkliwy pocałunek przerwał potok zwierzeń dziewczyny.

Groźny kapitan posadził ją sobie jak dziecko na kolanach, i tak przytuleni do siebie długo, długo rozmawiali.

A później, gdy już słońce chylić się zaczęło ku pianom fal na widnokręgu, śmiech zabrzmiał wśród ruin starej tureckiej fortecy.

Śmiech radości i szczęścia dziewczyny.

Nocy tej, co płaszczem ciemnym, srebrnym blaskiem miesiąca przetkanym, pokryła morze i góry, groźny kapitan nie wrócił na pokład okrętu.

A gdy rankiem dnia następnego przybił na szalupie do burty „Krymu”, mając duszę pełną blasków i szczęścia cudnych oczu Greczynki, a ciało dre-

szczów miłosnych, noc całą trwających, zarzucić kazał jeszcze drugą kotwicę i zapowiedział załodze, że dni kilka stać będą przy brzegach Sudagu.

Dzień spędzał na pracy nad planem swoim, a gdy zapadała ciepła południowa noc i na niebie błyskać zaczynały pierwsze gwiazdy, szalupa unosiła go na grzbietach fal ku brzegowi do ruin tureckiej fortecy, gdzie pod gałęźmi drzew mimozy czekały nań stęsknione, miłości pełne czarne oczy pięknej Greczynki.

Promienie wschodzącego słońca budziły ich ciepłym pocałunkiem wstającego dnia.

Dni kilka zaledwie stał okręt groźnego kapitana przy brzegach „Krymu“, lecz czas ten wystarczył na to, by dłutem rodzącej się miłości wyryć w duszy jego na wieki obraz cudnych czarnych oczu Greczynki.

Szumiały fale, rozpieniane sztabą „Krymu”. Z szumem ich mięszało się łagodne pokłaskiwanie białych żagli na masztach. I w tych poszumach fal i szmerach płótnisk żaglowych słyszał groźny kapitan płacz rzewny kochanki swej, co została tam wśród gór Sudagu, co już nikną woddali.

Smutek rozsiadł się w duszy korsarza. Kilka godzin zaledwie minęło, gdy całował główkę kochanki. Całował po raz ostatni. Rozstali się. Twarda wola groźnego kapitana odrzuciła precz od siebie miłość pięknej Greczynki. Płakała. Tarzała się u nóg jego, buty całując. Lecz on nieugiętym był w swojem postanowieniu. Cóż chciała ona od niego? Czyż nie żądała rzeczy niemożliwych? Małżeństwo? Któż dał

jej prawo żądać od niego wejścia w związki małżeńskie? Nie dla poży ia małżeńskiego został stworzony! Rodzina i troski, z nią związane, odsunęłyby go na zawsze od ukochanej pracy nad dziełem, które rozpoczął. Czyż mógł porzucić tę pracę dla jednej kobiety? Porzucić teraz, gdy myśl jego kształtów realnych nabiera, gdy nad obszarami imperjum rosyjskiego powiała czerwona chorągiew i ludy ciemiężone za broń chwytać zaczynają, chcąc stanowić o swoim losie? Dla jednej kobiety miałby porzucić myśl, myśl, w której treść była jego życia całego?

Nigdy! Raczej niech serce w piersi jak pies z bólu skowyczy, niech duszę gniecie ten ciężar bezmierny, niech głowę myśl natrętna rozsadza: „co teraz będzie z nią i z dzieckiem jego, które zostawił tam wśród gór Sudagu", niżby zejść miał z drogi, którą kroczył życie całe.

Czy nie jest obowiązkiem jego ożenić się z kobietą, z którą ma syna? Ach nie, po stokroć nie! Dla innego byłoby to prawem najświętszem, ale on inne ma obowiązki i cele. Większe i świętsze od tego. Ojczyzna. Potęga odrodzonej ojczyzny—oto cel, do którego dążyć musi i osiągnąć, choćby po drodze zdeptać miał szczęście swoje i łzy bólu kobiety, którą pokochał Nic nie może mu stanąć na drodze do osiągnięcia celu! I tak już wiele razy sprzeniewierzył się sobie, zawijając często bez potrzeby do zatoki cesarskiej Sudagu.

Przeżył z kochanką swą kilka rozkosznych miesięcy, które były najszczęśliwszym okresem czasu jego życia... I dosyć. Dość tego szczęścia. Droga do

celu twarda jest i przeciwnościami najeżona. Nie wolno mu kraść sobie czasu, który całkowicie łamaniu tych przeszkód winien poświęcić.

Zapomnieć musi zupełnie, że była miłość jakaś w życiu jego, że kogoś kochał, że ktoś kochał jego.

Czy nie spotka go kara za krzywdę wyrządzoną? Gdy szalupa jego odbijała po raz ostatni z groty Galicyna, Greczynka na kolana padła na piasku brzegowym i przysięgła mu zemstę za jej miłość zdeptaną, za życie złamane, za krzywdę, wyrządzoną jej i dziecku, które na świat przyszło.

Lecz czyż zlęknie się on gróźb jej i gniewu? Czyż i tak nie stoi mu ciągle przed oczyma wizja czarnych wylotów luf dział krążowników rosyjskich, kontrabandę tępiących?

Czyż nie grozi mu śmierć każdej chwili od załogi swej, z szumowin społecznych złożonej, którą trzyma w karności żelaznej, gniotąc bunty twardą swą dłonią?

Precz! Precz ze wspomnieniami gróźb i zaklęć błagalnych. Ani jedne, ani drugie nie wzruszają go. Zapomnieć. Jak najprędzej zapomnieć. Pracy ukochanej, dziełu swojemu się oddać!

Oto zbliża się dzień, gdy w rozgwarze kipiącego kotła rewolucji rozlegnie się donośnie pierwszy strzał działowy z jego okrętów wojennych, których załogi, przekupione złotem, pod jego się rozkazy oddadzą.

Zbliża się dzień, gdy pod brzegi Krymu przybędzie flota wojenna turecka, by wesprzeć swych współwyznawców, którzy pod jego wodzą powstanie podniosą.

Zbliża się i ten dzień wielki, który świętem bę-

dzie jego całego życia, gdy nad murami Sebastopola, stolicy Krymu, popchniętego wolą jego do połączenia się z odrodzoną ojczyzną z nad brzegów Bałtyku, rozwinie się czerwono-biały sztandar...

Szumią fale, łopoczą żagle...

Pochyla się pod ciężarem myśli głowa groźnego kapitana. Wola jego potężna kłębi się i powstaje groźnie z głębin duszy, wypierając z niej wspomnienia cudnej Greczynki. Uciekają i giną wspomnienia. Lecz czemuż przed obrazem czerwono-białego sztandaru, pojawiającego się w umyśle jego, zjawia się co chwila inny obraz, obraz cudnych, łez pełnych czarnych oczu, przybliża się, zwiększa i przysłania wkońcu ten pierwszy zupełnie? — Precz! Precz ode mnie — szepcą pobladłe wargi groźnego kapitana — uciec stąd trzeba. Uciec gdzieś dalej, hen na chińskie wody, gdzie okręty z kontrabandą chodzą wolne i bezpieczne. Oddalić się trzeba stąd do czasu, gdy napięcie rewolucyjne punkt kulminacyjny osiągnie. A wtedy zjawię się znów przy brzegach Krymu, ale już z okrętami, pod pokładem których armaty nabite schowane będą, i rozpocznę walkę.

Lecz uciec stąd trzeba, uciec czem prędzej, póki ta zmora przeklęta nie zniweczy mych zamiarów i myśli.

Do Chin! Na chińskie wody korsarskie!

Gdy mrok nocy otulał swym ciemnym płaszczem nadbrzeżne bulwary Eupatorji i zło wylegało ze swych jaskiń ponurych na słabo oświetlone ulice portowego miasta, pod murami domów przesuwał się cień nie-

wieści i podążał do dzielnicy szynków i domów gry, gdzie ciszę nocy targały zawadjackie dźwięki harmonji i gdzie hulał szeroko rewolucyjny żywioł przestępczy.

Gdy cień ten wchodził w krąg światła latarń ulicznych, przeistaczał się w kobietę o greckim profilu, w kobietę o urodzie niezwykłej.

Znali ją w tej dzielnicy. Znali jej chód, spojrzenie, znali jej pocałunki i pieszczoty sprzedajne, znali jej głos, w ciemności wabiący:

— Ej, towariszcz, pójdziemy zabawić się do mnie?

I gdy złapany marynarz lub „krasnoarmiejec" szedł „zabawić się do niej", poznawał wnet historję jej życia.

A później nocy następnej, zetknąwszy się z nią na ulicy, już sam proponował zabawę i, klepiąc poufale po twarzy, pytał drwiąco:

— Nu, i jak tam, czy nie wrócił jeszcze twój „groźny kapitan"? Czy nie przyjmą cię rodzice zpowrotem do domu?

A dowiedziawszy się, że „groźny kapitan" jeszcze nie wrócił, rodzice zaś nie przyjmą do domu wyrodnej córki, szedł z nią do szynku, gdzie grzmiała muzyka i tam wśrod orgji zabawy zabójczej noc spędzał.

Nad ranem dopiero wracała do domu, pnąc się z trudem po stromych schodach na poddasze do małego pokoiku, w którym mieszkała.

W pokoiku tym przy oknie, wychodzącem na morze, stała kołyska, w której spał jej synek maleńki.

I często w słotne, dżdżyste wieczory zimowe, gdy

przejmujący chłodem wiatr wył ponuro za oknem, siadała przy tej kołysce i śpiewała synkowi do snu piosenkę własnego pomysłu:

„Śpij, dziecino moja złota. Śpij, synu mój jedyny. Snem mocnym zaśnij, snem twardym, a niech ci się sen zwidzi cudny, czarowny, że dobrze jest wszystkim na świecie, że miłość na ziemi panuje, że niema zła i ciemnej, ponurej ulicy. Choć we śnie, niech ci się zdaje, że jesteś jak inne dzieci, dobrego ojca mające, a nie tyrana, którego nienawidzić należy.

Biedna ty jesteś, losem skrzywdzona dziecina. Przekleństwo wisi nad twoją główką kochaną. Iść będziesz wiecznie przez życie twarde, przez wszystkich wzgardzony. Nocą ciemną, upiorną będzie życie, a jedyną ucieczką dla ciebie jest sen, sen błogosławiony, w którym ginie rzeczywistość i świat inny, świat cudny, czarowny powstaje.

Więc śpij, dziecino ma złota. Śpij, mój synu jedyny. A gdy się ze snu dzieciństwa obudzisz i, oczy przetarłszy, krzykniesz rozpaczliwie, prawdę straszliwą ujrzawszy, niech pociechą będzie ci myśl, że nastąpi znów kiedyś sen mocny, sen wieczny, z którego cię już nikt nie obudzi.

Lecz nim w ten sen swój ostatni zapadniesz, pamiętaj, iż spełnić masz czyn, którego spełnienie musi być celem życia twojego. Pamiętaj o zemście, mój synu jedyny. Wiesz, że za krzywdę ci wyrządzoną ukarać musisz winnego. Pomścij krzywdę swoją i matki, która tej zemsty sama dokonać nie może. Poznałby odrazu krzywdziciel twą matkę i zabić kazał. I spełzłaby zemsta na niczem.

A tymczasem, nim sił do zemsty nabierzesz, śpij,

mój synu maleńki, śpij snem krzepkim, snem mocnym, i niech ci choć we śnie się zdaje, że świat jest dobry i piękny, że miłość na ziemi panuje i niema zła i ciemnej, ponurej ulicy.

Rankiem, gdy oczki otworzysz, myślą twą pierwszą niech będzie myśl o zemście.

Śpij, mój synu jedyny, śpij, dziecino ma złota."

A gdy zasypiał jej synek maleńki, wychodziła dla chleba z domu na ulicę, gdzie czekał już na nią „towariszcz" i gdzie z szynków leciały dźwięki harmonji, odgłosy orgij, bójek i przekleństw.

Przez zatłoczone ulice rosyjsko-chińskiego miasta Inkou przedzierał się w kierunku portu mały chłopak lat około ośmiu.

Ubrany nędznie, mizerny i drobny w porównaniu z krępemi postaciami tragarzy Chińczyków i rosłych marynarzy rosyjskich—ginął poprostu w olbrzymim ich tłumie.

— Ej, kudy tak priesz, towariszcz detyna?—pytały go potężne brodate postaci drabów portowych, gdy w pośpiechu, z jakim szedł, trącał je gwałtownie łokciami.

Nie zwracał uwagi na te pytania, nie widział otaczającego go tłumu, jedną tylko myślą zajęty: „czy nie odszedł jeszcze ten statek, którego z matką swoją szukał już od roku po wszystkich portach Chin i Rosji?"

Długo, długo i żmudnie trwały te poszukiwania, okręt, którego szukali, był dla nich nieuchwytny, zjawiał się niespodzianie w jakimś porcie, parę go-

dzin zaledwie postał, kotwic nie zarzucając wcale, przymocowany do mola linami, i wnet rozwijał żagle i wyruszał znowu na morze.

Zetknęli się z nim nareszcie tutaj w Inkou. Pół godziny temu zaledwie, gdy tylko z pociągu wysiedli, rzekła mu matka:

— Spiesz się, synu, spiesz, póki on znów nie wyruszy na morze, a gdy znajdziesz go już i dostaniesz się na pokład, pamiętaj o tem, com ci przykazała. Ręką twą niech kieruje zemsta. Spiesz się, synu.

Spieszył się więc chłopak, pchany wolą matki, którą kochał gorąco.

Przez tłumne się przedarłszy ulice, dotarł nareszcie do mola. Rozglądać się zaczął niespokojnie wśród masy parowców wielkich i małych, wśród żaglowców wysmukłych i holowników pękatych.

Dojrzał nareszcie: „Krym". Napis czerniał na białej burcie pięknego trójmasztowego barku. Znalazł nareszcie to, co mu znaleźć kazała matka pod groźbą przekleństwa.

Zatrzymał się przy trapie barku, ogarnięty niepewnością i lękiem. Oto za chwilę stanie przed obliczem człowieka, który jest jego ojcem, a którego mu matka nienawidzić kazała. Jakaż będzie ta pierwsza rozmowa... Jak przyjmie go ten człowiek, o którym matka mówiła, że jest despotą, tyranem, okrutnikiem, nie znającym litości? Czy aby nie dowie się jakoś, że z synem rozmawia, i nie każe, gniewem zdjęty, do wody go wrzucić? Strach coraz większy ogarnia chłopaka. Przezwycięża go jednak i po trapie wchodzi na pokład.

Na „Krymie" wre praca. Pokład cały jest zawa-

lony wielkiemi ciężkiemi pakami, które marynarze wśród wymysłów i przekleństw bosmana spuszczają na grubych linach przez międzypokład do ciemnych triumów.

— Ostrożnie!—wrzeszczy bosman zachrypłym głosem.—Ostrożnie, mówię, mać wasza, tak i owak, ostrożnie, bo w powietrze wylecicie, psie syny!

Chłopak staje nieśmiało przy burcie. Dostrzeżono go.

Zbliża się jakiś obszarpany, plugawy brodacz.

— Czego tu chcesz, szczeniaku?—pyta go groźnie.

Chłopak zdejmuje czapkę.

— Chcę się zaciągnąć na statek — mówi, czując, że w tej chwili ważą się losy jego — chcę pływać z wami na „Krymie".

— Wynoś się stąd—powiada brodacz—nie potrzeba nam tu takich szczeniaków, jak ty, zdechniesz po kilku dniach żeglugi—ręka marynarza łapie chłopca za kołnierz i stara się go zepchnąć z pokładu na molo.

Chłopak się nie daje, opiera się z całych sił. Zaczynają się szarpać ze sobą. Brodacz przeklina i wrzeszczy. Pięściami okłada malca. Hałas zwraca uwagę bosmana, kierującego ładowaniem skrzyń do triumów. Podchodzi.

— Czego się szarpiesz z tym czortem?—pyta, odpychając marynarza.

— A ot—powiada tamten—pcha się mleczak na statek. Do załogi chce się zaciągnąć, dureń. Nie wie jeszcze, sobaczy syn, jak smakuje służba na pokładzie „Krymu".

Bosman patrzy uważnie na chłopca.

— Mały jeszcze jesteś—powiada—nie wytrzymasz długiej podróży. I cóż zresztą może robić takie chuchro, jak ty? Na reję nie wejdziesz, za liny ciągnąć nie będziesz, za słaby jesteś na to. Chyba tylko kucharzowi do pomocy. A i to praca nielekka. Cięgibyś zawsze dostawał.

— Weź mnie, bosmanie, na statek—prosi chłopak ze łzami w oczach — wytrzymam wszystko, silny jestem, on może poświadczyć—wskazuje palcem na brodacza, z którym się szarpał przed chwilą.

Zgromadzony dokoła tłum marynarzy wybucha śmiechem. Bosmanowi jednak spodobał się chłopak.

— No, i czego ryczycie, rekiny — zwraca się do tłumu—próżniaki mordaste? Do pracy mi zaraz, mać waszą tak i inaczej!

Tłum się rozłazi.

— No dobrze, szczeniaku—zwraca się bosman do malca — zaprowadzę cię do kapitana, od niego tu wszystko zależy.

Bierze chłopca za kołnierz i taszczy ze sobą na rufę.

Puka do drzwi kapitańskiej rupki i wchodzi, zostawiając malca za drzwiami. Po chwili wychyla się i woła go do środka.

Z bijącem sercem chłopak wszedł do kajuty.

Nad rozłożoną mapą morską siedział pochylony groźny kapitan. Ołówkiem podług linjału wykreślał na mapie kurs, jakim niebawem popłynąć miał jego okręt. Na morze Czarne prowadziła ta linja, na morze Czarne do brzegów Krymu, do portu Sebastopola. Groźny kapitan uznał, że nadszedł nareszcie czas do wejścia w ostatnią już fazę działań, zmie-

rzających do wzniecenia powstania Tatarów na Krymie.

Wzrok, ciężki, zamyślony, przeniósł z nad mapy na twarz chłopca.

I raptem ożywiła się twarz kapitana, zamyślone oczy błysnęły wspomnieniem, zmarszczka utworzyła się błyskawicznie na czole. Drgnęła ręka, spoczywająca na stole. Coś przypomniały mu te czarne oczy chłopaka, ta ciemna czupryna, zwisająca na czoło, ta twarzy łagodna matowość. Jak wicher naleciały wspomnienia cudnych nocy, pełnych światła księżyca, zapachu mimozy i szmerów fal, łagodnie szumiących gdzieś wdole, do których szepty wyznań miłosnych mięszały się drżące.

Prędko opanował się groźny kapitan. Wspomnienia przemocą woli twardej odrzucił precz od siebie, Wzrok surowy utkwił w oczach chłopca.

— Na statek chcesz się zaciągnąć? — zapytał.

— Tak, panie — odrzekł malec — drżąc pod stalą spojrzenia groźnego kapitana.

— Dobrze więc, zapisany zostaniesz na listę załogi. Kucharzowi przy garnkach pomagać będziesz. Bosman cię zaprowadzi do niego. Idź już!

Wślad za bosmanem i malcem podążył ciężki wzrok kapitana,

— Jakże podobny jest do niej ten szczeniak...— bezwiednie wyszeptały nagle skrzywione boleśnie usta korsarza.

Wśród rondli, garnków, zaduchów kambuza i przekleństw kucharza potoczyło się teraz życie chłopaka. Nawał nowych wrażeń i myśli ogarnął duszę chłopca.

Długo już „Krym“ rozpieniał fale oceanu, dążąc wytrwale na zachód. Mały tęsknił za matką. Siedząc na małym stołku przy płycie kuchennej i obracając pod ostrzem noża obierane kartofle, wspominał ostatnie pożegnanie z matką, na które już po zaciągnięciu się na statek wymknął się potajemnie.

Umówili się spotkać ze sobą w porcie Sebastopola, dokąd pod pełnemi żaglami i pomyślnym wiatrem parł „Krym”. W pierwszych dniach podróży chłopak myślał tylko o matce, obliczał i rachował miesiące, dni i godziny, kiedy znów będzie mógł paść w jej objęcia. Później jednakże zmienił się gwałtownie bieg jego myśli. Uwaga zaprzątnięta została postacią groźnego kapitana. Inaczej wyobrażał go sobie, inaczej opowiadała o nim matka. Spodziewał się ujrzeć ojca swego w postaci krępego karła, o twarzy podłej i oczach złych i okrutnych, o głosie chrapliwym, skrzeczącym. Tymczasem na mostku kapitańskim widział wyniosłą postać korsarza o orlej twarzy, surowej wprawdzie, lecz szlachetnością i potęgą myśli tchnącej. Słyszał głos jego donośny, grzmiący rozkazami, który panował nad wyciem wichrów i rykiem fal. Można było nienawidzić tego człowieka, ale wzgardy doń nikt nie mógł poczuć. Syn bać się zaczynał i szanować jednocześnie swojego ojca. Imponowała mu potężna sylweta groźnego kapitana. Czasami, gdy po pokładzie przeleciał grzmot jego głosu, a krnąbrna załoga przycichła pod błyskawicą spojrzenia ich pana życia i śmierci, chłopak dumę poczynał czuć w piersi, że jest synem groźnego kapitana. Odczuwał jednocześnie dreszcz za-

dowolenia i bojaźni, gdy spoczęło na nim przypadkiem orle oko korsarza.

Szczęśliwy był, gdy przyszedłszy czasami do kambuza, by sprawdzić strawę, groźny kapitan przemówił do niego. Cóż z tego, że wymyślał mu wtedy za garnki, niedość czysto umyte? Ale przecież mówił z nim, zwracał się wyłącznie do niego. A gdy razu pewnego za przewinienie jakieś wobec kucharza posłał go groźny kapitan za karę na maszt kilka godzin stać na salingu na zawrotnej wysokości, jakże szczęśliwym czuł się syn, pnąc się wzwyż po wantach, wiedząc, że spoczywa na nim surowe oko ojca, które widzi, jak on bez lęku i z jaką zręcznością biegnie wgórę po wantach.

Chłopak popadł całkowicie pod wpływ potężnej indywidualności groźnego kapitana. Myślał o nim całemi dniami, wynajdywał sposoby, jak zaimponować mu sobą, jak wkraść się w jego łaski. Ciągle szukał sposobności, by znaleźć się wpobliżu swego ojca, do którego już nietylko bezmierny szacunek, ale i miłość synowską czuć poczynał.

Raz nawet zakradł się potajemnie do kajuty kapitańskiej i położył się cicho na kanapie obok koi, na której sypiał jego ojciec. Wykryty, zwymyślany i wyrzucony gniewnie jak szczeniak ręką korsarza z kajuty, dostał na jego rozkaz bolesną chłostę linką bosmańską. Płakał wtedy długo malec. Nie z bólu może, choć zbite jego plecy długi czas krwawiły po chłoście, lecz ze wstydu nie przed śmiechem okrutnej załogi, lecz przed spojrzeniem surowych oczu korsarza. W słowa skargi jednak, zwrócone do matki, nie wtrącił złorzeczeń przeciwko ojcu. Nie mógł

już złorzeczyć temu, kogo ubóstwiał, pod którego wpływem się znajdował.

Długo, długo po chłoście wstydził się i bał spojrzeć w oczy groźnego kapitana, by nie wyczytać w nich błysku szyderstwa.

Groźny kapitan niemniej boleśnie od chłopca odczuł karę, którą wymierzono mu z jego rozkazu. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzał w swej rupce, poczuł dziwną sympatję do tego mizernego chłopczyny, który patrzał na niego z taką bojaźnią i lękiem. Uświadomił sobie odrazu przyczynę tej nagłej sympatji. Chłopiec tak podobny był do tej, którą kochał niegdyś i którą zdeptał bezlitośnie, skoro stanęła z miłością swoją na drodze do celu jego życia. Wśród nawału pracy, niebezpieczeństw, trudów i walki z żywiołem nie miał czasu rozpaczać po stracie kochanki. Lecz zdarzało się, że ścichały wiatry, żagle zwisały bezsilnie na rejach, niebezpieczeństwo pościgu krążowników angielskich znikało na czas jakiś, i wtedy groźny kapitan, przemierzając krokami pokład okrętu, na którym nie było nic do roboty, mocą woli odpychał nalatujące nań wizje wspomnień, z serca wydzierał po raz setny może obraz cudnych czarnych oczu, w których błyszczały łzy.

I teraz tak samo, jak zwalczał tę wizję przeszłości, zwalczać począł uczucie rodzącej się przyjaźni do chłopca. Czuł, że skoro da się opanować tej tkliwości do „małego szczeniaka", jak go nazywał, to wkońcu ulegnie pod nawałem wspomnień swej dawnej miłości, której porywy dziwnie powoli zamierały w jego duszy. Wiedział, na jakiem podłożu zrodziła

się ta przyjaźń, i wiedział, że jeśli nie zwalczy jej, jeśli faworyzować zacznie chłopaka i przebywać często z nim razem, to odżyją dawne wspomnienia, wskrzeszone jego widokiem, zmartwychwstanie jego gwałtowna miłość do pięknej Greczynki, i nie będzie miał już sił, i tak nadszarpniętych ciągłą walką ze sobą, by oprzeć się pokusie odszukania i wynagrodzenia krzywdy kobiecie, którą zepchnął brutalnie na drogę bólu, zła i występku. A cóż stałoby się wtedy z dziełem jego życia, które już prawie doprowadził do końca? Wszak tak już mało w porównaniu z tem, czego dokonał, do zrobienia zostało. Ojczyzna jego jest już wolną. Niepodległość jej oglądał własnemi oczyma. Musi jej teraz dać to, co zdobyć dla niej poprzysiągł. Krym musi zdobyć dla niej. Na dnie morza Czarnego w miejscu, którego długość i szerokość geograficzna jemu jest tylko wiadoma, są skarby, zgromadzone pracą, odwagą i poświęceniem wielu lat jego życia. Złoto to da mu ludzi, broń i okręty wojenne. Złoto to propagandą potężną wskrzesi ideę niepodległości Tatarów krymskich. Złoto wznieci powstanie ludności niezadowolonej z rewolucyjnych rządów. Złoto odda pod jego władzę Krym, tę perłę morza Czarnego, którą rzuci pod stopy swej wolnej ojczyzny, i będzie mógł umrzeć spokojny, z przekonaniem, że dokonał dzieła swojego życia i uczynił kraj swój potężnym, mocarnym.

I teraz, gdy chwila ta już tak jest bliska, miałażby na przeszkodzie mu stanąć jakaś sympatja do obcego chłopca? Chuchro mizerne miałoby zniweczyć jego ukochane dzieło? Nie. Przenigdy! Zgnie-

cie w sobie raz jeszcze uczucie. Nie szukać towarzystwa chłopca, lecz odsuwać go będzie od siebie. Nie faworyzować, nie pobłażać, lecz nadmiarem surowości w stosunku do „szczeniaka" zwalczać będzie zarodek tak niebezpiecznej dla dzieła jego sympatji. Znęcać się nawet będzie nad malcem, byle tylko nie opanował on duszy jego.

Skrupuły jakieś, jakby wyrzuty sumienia powstają w ciemnych przepastnych głębinach duszy groźnego kapitana. Za cóż katować będziesz biednego chłopca? Czy za to, że tak podobny jest do tej, którą kochałeś i którą tak ciężko skrzywdziłeś? Co ci zawinił ten malec mizerny?

Precz! Precz ode mnie tkliwości i rozczulania się babskie — kłębi się potężna wola korsarza, czując, że pytania te w tej części zrodziły się duszy, gdzie pogrzebana jest dawna miłość jego — co mi zawinił ten szczeniak? Zawinił, bo tak samo, jak niegdyś ona, staje na mej drodze do celu! A ustąpić musi. Ustąpi tak samo, jak niegdyś ustąpiła ona.

Inna jeszcze myśl, myśl, straszniejsza nad wszystkie, powstaje w umyśle groźnego kapitana. Boi się korsarz, poprostu boi się uświadomić sobie, że myśl ta zakradła się do jego głowy.

— A może ten chłopak jest synem twoim, któregoś zostawił tam z nią wśród gór Sudagu? — odczuwa korsarz groźne, jakby podziemne wibracje tej myśli.

Precz! Precz ode mnie! — z wysiłkiem walczy wola jego z upiorną tą myślą — gdzie logika, gdzie rozsądek? Skądby znaleźć się mógł on w dalekim od Krymu rosyjsko-chińskim porcie Inkou? Jakżeby od-

być mógł w tak niespokojnych czasach taką długą drogę? A gdyby nawet wyruszył wraz z matką swoją na daleki wschód, to czyż nie byłoby cudem, że znalazł się w Inkou w tym samym czasie, gdy tam kilka godzin zaledwie stał okręt groźnego korsarza? Nie, stanowczo nie. To byłoby cudem, a cudów niema na świecie. Nie jest on synem twoim pomimo tych rysów podobieństwa z tą kobietą, którą porzuciłeś już dawno. Jest zwykłym przybłędą, nad którym nie wolno ci się roztkliwiać. Po odbytym rejdzie wyrzucisz go jak plugawego szczeniaka z pokładu twojego okrętu.

Kłębi się i pręży potężna wola groźnego kapitana zmagając się z nienawistną myślą, wypychając ją poza krąg świadomości. Lecz wraca ona co chwila, coraz większa, potężniejsza, ogromem swym przytłaczając walczącą z wysiłkiem, wycieńczoną już zmaganiem się ciągłem wolę korsarza.

Zrywał się często w nocy z kojki swej groźny kapitan, obudzony tą myślą koszmarną, i chodził długo z kąta w kąt kajuty, mrucząc przez ściśnięte zęby:

— Zgniotę cię, zgniotę cię, przeklęty szczeniaku! Nikomu nie wolno stanąć na drodze do celu życia mojego. Nie wolno nikomu, choćby nawet był moim synem!

Już piątą dobę nad oceanem Atlantyckim szalała burza. Pięć dni i pięć nocy olbrzymie, rozchwiane góry wodne szły w potężnych zwartych szeregach po bezmiernej płaszczyźnie oceanu i, napot-

kawszy na swej drodze małą łupinę, zowiącą się „Krym“, waliły w nią wściekle z rozpędu druzgocącą płynną masą, unosiły na wierzchołkach swych wgórę i ciskały wdół. Potężne porywy wichru, ścinające wierzchołki grzywiastych bałwanów i niosące tumany pyłu wodnego ławami w ciemnem powietrzu, wyły złowrogo w linach takelunku i żaglach, co chwila pochylając statek na burtę. Sto dwadzieścia godzin już nad oceanem panowała ciemna noc. Groźne, czarne kłębowiska chmur przysłaniały słońce i gwiazdy, unosząc się tak nisko w powietrzu, iż zdawało się, że wierzchołki pochylonych masztów dotykają jasnych zygzaków błyskawic, co chwila rozdzierających ciemności.

Statek dzielnie walczył ze sztormem. Trzeszczały maszty, jęczały wiązania i szpanty, pokład co chwila zalewało potokami wody, gdy kadłub okrętu spadał w brózdy przepastne miedzy wałami, lecz za każdym razem dziób „Krymu“ wylatywał znowu na wierzchołek nadchodzącego bałwanu. Gorzej znosiła kataklizm załoga. Całe długie pięć dni wachta, nadwachta i podwachta harowały, rąk nie pokładając, bez snu i gorącej strawy, uwijając się bez odpoczynku po ciskającym się wściekle pokładzie.

Pierwszy i drugi dzień sztormu nie wywarł na załogę większego wrażenia. Byli to ludzie, długi już czas pływający pod rozkazami groźnego kapitana po wszystkich morzach i oceanach świata, otrzaskani z wyciem wichrów i rykiem fal w pogody sztormowe. Lecz gdy nadszedł trzeci dzień i burza zamiast osłabnąć—wzmogła się jeszcze, załoga poczuła, że

siły jej wyczerpują się w ciągłej walce z żywiołem. Czwartego dnia nad ranem marynarze sarkać zaczęli, że kapitan wprowadził ich w burzę. Przewidywał, że sztorm nadejdzie, i nie kazał zawinąć do portu, a przecież wtedy tak niedaleko się znajdowali od brzegu. Spieszył się gdzieś groźny kapitan, i zdawało się, że zadowolony był, iż na skrzydłach burzy okręt jego pędzi tak szybko. Lecz cóż obchodził załogę ten pośpiech, skoro burza mogła ich wszystkich przyprawić o śmierć na dnie oceanu. W południe tego samego dnia szemranie się wzmogło, a wieczorem podczas apelu, gdy opuszczono banderę „Krymu", z tłumu marynarzy wysunął się wielki, rosły, czarny na twarzy drab i podszedł do stojącego na grot-luku groźnego kapitana.

— Kapitanie — rzekł chrapliwym głosem — każ zawinąć do jakiegoś portu. Wyczerpani już jesteśmy tym sztormem. Nie zdołamy tak dłużej pracować!

— Milcz, rzezimieszku! — huknął nań groźny kapitan — nie wtrącaj się do żeglugi! Twoją sprawą jest ciągnąć za liny, gdy ci każę, i nic więcej! Rozumiesz?!

Pomruk niezadowolenia odezwał się w tłumie marynarzy.

— Czego wy chcecie, baranie łby? — zwrócił się do nich korsarz. — Do jakiego portu chcecie zawijać? Jesteśmy na oceanie, daleko od brzegów! Co za port świta wam w mózgownicach?!

— Madera! — rozległy się wołania wśród załogi — wyspa Madera! Zawijaj na Maderę!

— Kapitanie — odezwał się znów drab, stojący przed korsarzem — zawiń do Funchalu, portu Ma-

dery. Zawiń do portu, bo dłużej nie będziemy pracować!

— Milcz, nędzniku! — ryknął groźny kapitan.

Druzgocący cios jego pięści powalił na zlany wodą pokład czarnego draba.

— Do pracy, psy! — huknął w stronę załogi — nie wtrącać się do mnie. Ja rozkazuję, a wy słuchacie. Do roboty, hołota!

Tłum marynarzy stał nieporuszony.

— Nie słuchacie rozkazu, zbrodniarze?! — oczy groźnego kapitana cisnęły w nich błyskawicę gniewu — wiecie, co kapitan robi, gdy załoga bunt podnosi?...

Groźny kapitan przerwał i rękę opuścił do kieszeni płaszcza.

— Do roboty iść, sukinsyny! — dokończył z lodowatym spokojem. — Do roboty, bo zaraz w łby palić zacznę. No, już!

Ostatni okrzyk rozległ się jak zwiastun mającego paść zaraz wystrzału kapitańskiego rewolweru. Ręka korsarza drgnęła gwałtownie w kieszeni płaszcza.

Tłum marynarzy poruszył się i z groźnym pomrukiem rozlazł się po pokładzie, niechętnie biorąc się do klarowania rozrzuconych lin.

Noc i dzień następny minęły spokojnie. Statek dzielnie się trzymał wśród rozhukanych bałwanów, załoga, półprzytomna ze znużenia, pracowała, goniąc resztkami sił. Ale oto, gdy w nocy szóstej doby sztormu doleciał z baku poszarpany wichrem okrzyk marynarza, stojącego na „oku": „światło z bakburty"! — wzburzenie ogarnęło załogę.

— Madera! — przeleciała wieść po całym statku.

I oto w ciemnym, mrocznym międzypokładzie, po burtach którego biegały niespokojnie migotliwe blaski słabo palących się latarń okrętowych, kołysanych podrzutami statku, zebrali się marynarze z chwilowo wolnych od pracy na pokładzie podwachty i nadwachty. Pobladłe brodate twarze o jarzących się chorobliwem światłem oczach otoczyły wysokiego draba, który przedwczoraj rozmawiał z kapitanem.

— Słuchajcie — przemówił do zebranych znużonym, chrapliwym głosem marynarz — tam po bakburcie migoce światełko. To jest światło latarni morskiej Funchalu, portu wyspy Madery. Byłem już tam kiedyś. Reda niezbyt dobra, ale dojść do niej można łatwo i bez obawy przed skałami. Funchal jest zbawieniem dla statków, przepływających koło Madery w taką pogodę, jak teraz. Na oceanie czeka nas zguba. Jesteśmy tak znużeni, że rychło nie będziemy już mogli wejść na maszt, by pracować przy żaglach. A co będzie, jeśli prócz wichru nadleci szkwał, a my nie będziemy już mogli na czas zwinąć żagli? Na oceanie czeka nas pewna zguba, towarzysze!

— O tem wszyscy już wiemy — odezwał się mrukliwy głos w tłumie — co powtarzasz stare bajki? Gadałeś, żeś znalazł ratunek, więc mów nam, co trzeba robić!

— Milcz! Nie przerywaj, durniu! — krzyknął czarny, złym wzrokiem rzuciwszy w stronę, skąd odezwał się głos.

— Gadajże, gadaj prędzej! — rozlegly się głosy.

— Słuchajcie więc—rozpoczął znów czarny — jeśli nie chcecie zginąć, to musimy zrobić tak, by za wszelką cenę zarzucić kotwicę w Funchalu jeszcze tej nocy. Groźny kapitan nie zgodzi się na to nigdy. Gdzieś mu się spieszy piekielnie. Bram-żagle i sztaksle stoją na masztach prócz płótnisk sztormowych. Słyszane to rzeczy, by w takiej wichurze trzymać tyle żagli na rejach? Maszty mogą nam runąć lada chwila na głowy. Kto słyszał kiedy, by kapitan, dbały o swoją załogę, na takie ją niebezpieczeństwo narażał? Spieszy się gdzieś nasz „stary" i nigdy się nie zgodzi na zakotwiczenie. Nigdy, powtarzam, nie zgodzi się na opóźnienie żeglugi.

— Wiemy już! Wiemy o tem! — rozległy się niecierpliwe okrzyki w tłumie. — Gadaj, co trzeba robić, by siebie ratować!

Czarny wzniósł rękę, nakazując milczenie.

— Zaraz odpowiem wam na to pytanie, lecz wprzód odpowiedzcie wy mnie: Co droższe jest dla was — dyscyplina okrętowa—czy życie?

W tłumie zaległo milczenie. W umyśle każdego z tych ludzi błyskawicą wspomnienia przeleciały lata służby na pokładzie „Krymu" pod rozkazami groźnego kapitana. Twarde, ciężkie lata, lecz jakże obfite w piękne momenty heroicznych czynów korsarskich! Wiedzieli, że tylko pod groźnym kapitanem mogli wieść takie beztroskie, awanturnicze, bogate życie rozbójników morskich. Na żadnym innym statku tyle pieniędzy nie dawałaby im służba, co na pokładzie „Krymu". Nawet na innych okrętach groźnego kapitana, trudniących się kontrabandą, tak do-

brze się nie powodzi marynarzom, jak im. Jednak wizja martwych ich ciał, rzucanych falami, zwyciężyła i wyparła wszystkie inne myśli.

— Czort bierz dyscyplinę! — rozległy się okrzyki — Życie jest milsze nad wszystko!

— No, więc teraz powiem wam — czarny pełną piersią zaczerpnął powietrza. — Bunt! — wyrzucił z gardła chrapliwie i skulił się, jakby przestraszony tem słowem.

W tłumie marynarzy znów zapadło milczenie.

Po chwili dopiero odezwały się głosy:

— Bunt? Łatwo powiedzieć — bunt! Spróbujno buntować się! Zaraz zawiśniesz na rei. Z groźnym kapitanem żartów niema...

— Towarzysze, słuchajcie — podżegacz był blady, wargi mu drżały — i tak nam śmierć jest pisana. „Krym" nie wyjdzie z tego sztormu. Zginiemy wszyscy. Czyż nie warto spróbować ratunku?

— Tak, zginiesz w falach, jak na marynarza przystało — rozległ się głos w tłumie — a tak zdechniesz nędznie od kuli swojego kapitana. Co lepsze?

— Co tam za dureń pyskuje?! — wściekle wrzasnął czarny. — Nie wszyscy zginą, bałwanie, zginie trzech, czterech, a później z rąk naszych padnie zabójca, i będziemy uratowani. Czyż nie lepiej, by zginęło kilku zamiast tego, żeby wszyscy potonąć mieli?

— Dobrze gada... — przeleciał nieśmiały pomruk po tłumie.

— Źle gada — zabrzmiał znów pojedyńczy głos — podle gada.

— Co to za pies szczeka mi ciągle z ukrycia — wrzasnął czarny, nabrawszy pewności siebie — nie masz odwagi wyjść i powiedzieć mi w oczy, co myślisz?

Poruszył się tłum, rozepchnięty łokciami, i przed podżegaczem stanął niski, krępy marynarz o niebieskich oczach, od samego początku korsarki pływający pod rozkazami groźnego kapitana.

— To ja mówiłem — rzekł, spojrzawszy twardo w oczy czarnego.

— Ach, to ty — uśmiechnął się drwiąco podżegacz — powiedzże mi, cnotliwa owieczko, co takiego i dlaczego źle powiedziałem?

— Mówisz źle, boś głupi — odparł mały marynarz — skoro zabijecie groźnego kapitana, któż będzie dowodzić „Krymem"! Nie ty przecież?

— A właśnie, że ja! — wybuchnął czarny — i skoro tylko mieć będę władzę, odrazu cię powieszę na rei!

— Uważaj, żebyś sam na niej nie zawisł, podlecu — spokojnie powiedział mały — chcesz dowodzić, a czy znasz nawigację? Znasz locję? Umiesz robić zwroty żaglami? Umiesz kierować okrętem? Przecież ty nie doprowadzisz statku nawet do tej samej Madery!

— Żeby wprowadzić okręt do portu, nie trzeba znać nawigacji, ty gadzino! — krzyknął czarny, robiąc krok w stronę przeciwnika — wprowadzę „Krym" do Funchalu!

— Nie wprowadzisz, bo zawiśniesz na rei — dobitnie rzekł mały marynarz.

— Doniesiesz? — spytał czarny, blednąc z wściekłości.

— Doniosę — odrzekł mały. — Towarzysze! — krzyknął, zwracając się do tłumu — nie słuchajcie tego opryszka! On was do zguby prowadzi! Czy źle wam pływać z groźnym kapitanem? Gdzie w obecnych czasach znajdziecie drugiego korsarza? Surowy on jest, lecz sprawiedliwy, nie krzywdzi nikogo przy podziale łupów. Wyjdziemy zwycięsko z tego sztormu! Wszak już niejedną przebyliśmy burzę! Tylko przecierpieć jeszcze trochę potrzeba. Odwagi, kamraty! A tego opryszka nie słuchajcie! On was prowadzi do zguby! To jest podlec! On chce...

Krzyk zamarł na ustach małego marynarza. W migotliwem świetle latarń okrętowych złowrogo łysnęło ostrze noża, wbitego po rękojeść w jego pierś.

Trup głucho stuknął w upadku o deski pokładu.

Widok krwi i zdecydowany czyn czarnego gwałtownie podziałał na tłum marynarzy.

— Do karabinów! — rozległ się potężny okrzyk. — Odbijać broń z triumów! Śmierć tyranowi!

Drgnęła i działać zaczęła gwałtownie gromada ludzi. Wydobyto siekiery i odbijać zaczęto pośpiesznie okute drzwi luku, prowadzącego do triumu, gdzie znajdowała się broń i amunicja. A wśród odgłosów uderzeń toporów brzmiał pośpieszny, przerywany wzruszeniem głos czarnego:

— Prędzej... prędzej, towarzysze... musimy mieć broń, póki nie dowiedział się o buncie kapitan. Prędzej... prędzej... Ja wami teraz dowodzić będę... Ja poprowadzę okręt do portu... I później pod mojemi rozkazami będziemy uprawiać korsarstwo... Lepszym będę dla was od groźnego kapitana... Nie jedną

czwartą część łupu jak on, lecz cały łup oddawać wam będę. Prędzej... prędzej...

W ciemnym i mrocznym międzypokładzie dźwięczały ponuro uderzenia toporów, mieszając się z rykiem fal i upiornem wyciem wichru na górze.

* *
*

Na rufie groźny kapitan przemierzał szybkiemi krokami tańczący we wściekłych podrzutach pokład. Z pod nasuniętej na czoło ziujdwestki błyskały jego surowe oczy zadowoleniem i szczęściem. Twarz zwracał ku porywom szalonej wichury i łykał chciwie ustami pęd powietrza.

— Bądź błogosławiony, sztormie wszechmocny! — rzucił słowa dziękczynne w mrok i burzę. — Pędź, pędź szybciej, wichuro! Tobie i mnie się śpieszy. Tobie—do dzieła zniszczenia, mnie—do dzieła tworzenia. Na Krym, na Krym, na skrzydłach orkanu do celu życia mojego!

Podszedł do szturwału, gdzie w kręgu światła latarń przy kompasie widniała skulona pod naporem wiatru, raz po raz zlewana przewalającemi się przez pokład falami postać sternika.

— Kurs? — rzucił ostro pytanie sternikowi.

— Nord-Ost, kapitanie! — odkrzyknął sternik, starając się przekrzyczeć wichurę.

Korsarz odszedł od kompasu.

— Dobrze płyniemy — zamruczał — wprost na Gibraltar.

Podszedł do burty, przechylił się. Koło burt okrętu szybko leciały wtył płaty fosforyzującej w ciem-

ności piany, olbrzymie grzywiaste bałwany piętrzyły się za rufą, jakby chcąc przeskoczyć przez statek, i nie mogąc dokazać tego, nie mogąc dotrzymać mu w pędzie, z pomrukiem złowrogim zostawały wtyle, rozpryskując się w drobny pył pod uderzeniami następujących nowych gór wodnych.

— Pędzimy..... — mruknął znów groźny kapitan... najmniej piętnaście węzłów. Jak tak dalej pójdzie, to za dwa tygodnie zarzucę kotwicę w Sebastopolu.

Odszedł od burty, spojrzał wgórę na żagle.

Tam wysoko łopotały niespokojne szkoty marsli.

— Wiatr się zmienia — pomyślał korsarz — od ziujd — vestu odchodzi. Trzeba reje przebrasować na baksztag.

Przyłożył gwizdawkę do ust. Przeciągły świst zmieszał się z rykiem burzy, wzywając na rufę bosmana. Świst urwał się, lecz deski pokładu nie zadudniły pod krokami bosmana.

Groźny kapitan powtórzył wezwanie. Czekał. Znów nikt się nie zjawił.

— Cóż to, ogłuchł ten stary rekin czy co?—mruknął gniewnie korsarz.

Gwizdnął przeciągle i silniej raz jeszcze.

Znowu poczekał chwil parę

— Ej tam! Na szkafucie! — huknął kapitan w kierunku śródokręcia — Bosman! Na rufę!

Głos przebrzmiał, i znów wył tylko ponuro wicher, i fale z szumem złowrogim rozbijały się o burty.

— Niema nikogo na pokładzie! — ze zdumieniem stwierdził korsarz. — Cóż oni tam już pozdychali ze zmęczenia czy co? — Wachta na rufę — krzyknął na śródokręcie raz jeszcze.

Jeszcze czekał.

— Nie, niema nikogo — mruknął, zaniepokojony kierując się do schodni, prowadzącej na jut.

Raptem sylwetka jakaś wyrosła przed nim w ciemności. Zatrzymał się.

— Kto to? —spytał —bosman?

Postać stała, milcząca i nieporuszona.

— Kto to, pytam się!—huknął groźny kapitan— co milczysz jak śledź?!

Postać zrobiła kilka kroków naprzód, i gdy weszła w krąg światła od latarni kompasowych, groźny kapitan ujrzał przed sobą mizerną figurkę „szczeniaka".

— Co robisz tutaj? — spytał surowo.—Nie wiesz, że na rufę z całej załogi ma prawo wchodzić tylko bosman? Czy znów chcesz otrzymać linki jak wtedy, gdyś się zakradł do mojej kajuty? Co? Odpowiadaj, szczeniaku!

— Przebacz, kapitanie — rzekł drżącym głosem chłopak—przyszedłem tu tylko dlatego, żeby cię przestrzec przed niebezpieczeństwem.

— Co za niebezpieczeństwo? — korsarz surowo zajrzał w oczy malca — co za niebezpieczeństwo dla mnie? Przed tym sztormem może który już trwa od kilku dni, chciałeś mnie ostrzec?

— Bunt! Bunt się gotuje przeciwko tobie, kapitanie — wyjąkał chłopiec.

— Bunt? — oczy korsarza błysnęły gniewnie — więc cóż z tego, że bunt? Poskramiałem już nieposłuszeństwo mojej załogi! Gdzież niebezpieczeństwo?

— Ale oni chcą ciebie zabić, kapitanie! — krzyknął chłopiec głosem, w którym dźwięczały łzy.

Schowaj się gdzieś, kapitanie! Schowaj! — zaczął prosić malec — schowaj się prędzej, bo oni ciebie zabiją!

— Słuchajno, szczeniaku — odezwał się groźny kapitan — nie gadaj głupstw! Ja się mam chować? Przed kim? Przed moją własną załogą? Czyś ogłupiał ze strachu przed burzą?

— Schowaj się, kapitanie, błagam cię — prosił malec ze łzami w oczach — oni cię zamordują, zabiją. Schowaj się! Ratuj się!

— Idź precz, mleczaku! — krzyknął groźny kapitan. — Nie pleć bzdur! Nikt mnie nie zabije na moim okręcie!

— Zabiją cię, zabiją — płakał już malec — wyraźnie mówili, że zabiją. Sam słyszałem, jak odgrażali się!

— To niech zabiją! — wybuchnął korsarz — co to ciebie obchodzi? Co to ciebie obchodzi? Pytam się! Poco łazisz i donosisz mi na moją załogę? Podli tylko tak robią! Skoro załoga moja chce mnie zabić, to niechże zabija, będziemy walczyć! Podnosząc bunt, robią źle, ale jeszcze gorzej robisz ty, donosząc na nich. Powinieneś przyłączyć się do nich i starać się mnie zabić. Wtedy będziesz dobrym kamratem i marynarzem. A tak jesteś podlecem! Zrozumiałeś? Idź do nich i powiedz, że czekam, aż mnie przyjdą zabijać. Idź precz, szczeniaku!

Chłopak opuścił głowę i stał nieruchomo, przytłoczony ciężarem słów kapitana.

Raptem rzucił się do nóg groźnego kapitana.

— Ojcze! — zabrzmiał rozdzierający okrzyk.

W uszach groźnego kapitana zamilkły na chwilę

wycia wichru i ryk fal, słyszał tylko głos syna, tarzającego się w spazmach płaczu u nóg jego.

— Ojcze — łkał mały.— Ojcze, mój tato kochany. Jestem synem twoim. Mama mnie wysłała tutaj żebym cię zabił. Lecz ja pokochałem ciebie. Nie tylko sam nie mogę zabić ciebie, ale nie mogę pozwolić na to, by ciebie zabito! Tatusiu, mój drogi, kochany! Schowaj się gdzieś przed nimi! Ratuj się! Prędzej! Prędzej, tatusiu! Oni zaraz tu przyjdą! Odbijają już broń z triumów! Ratuj się! Ratuj, tatko kochany!

Zdało się, że burza, która szalała wokoło, weszła nagle w duszę korsarza. Twarz jego skrzywiła się raptem w potworny grymas bólu, z piersi wydarło się ciężkie westchnienie. Na moment jeden napięły się straszliwie obolałe struny jego duszy. Przez ułamek sekundy chciał już nawet porwać syna w ramiona. Ale oto skłębiła się potwornie i zaparła w sobie jego potężna wola.

— Ojczyzna! — błyskawicą, co oślepiającem światłem swem przyćmiła wszystko, przeleciało w jego umyśle. I jak grzmot, co głuszy wszystko, zagłuszyła ta myśl wszystkie inne.

Opanował się groźny kapitan. Znów w uszach jego zabrzmiały wichry i fale.

Nogą odtrącił chłopca.

— Idź precz, szczeniaku—rzekł dobitnie—nie jesteś synem moim. Nie mam wcale syna. Łżesz wszystko.

Szybkim krokiem odszedł od leżącego. Zbiegł do kajuty swojej i po chwili znów wrócił na rufę z kie-

szeniami płaszcza, pełnemi nabojów. W ręku ściskał mauzer.

Gdy podszedł do schodni, ujrzał i uświadomił sobie naraz trzy rzeczy: „szczeniak" stał z opuszczoną głową przy bezań maszcie, sternika już nie było przy szturwale, a na śródokręciu z grota luku ostrożnie, popychając się, wyłaziła gromada uzbrojonych w karabiny marynarzy.

Bunt wybuchł. Groźny kapitan zaczął działać błyskawicznie.

— Na ster! — krzyknął do malca, stojącego przy bezań maszcie — steruj dalej Nord-Ost! Prędzej!

Chłopak podbiegł do kompasu, szprychy szturwału ujął w ręce.

Groźny kapitan stanął przy schodni z mauzerem w ręku.

Zbrojny tłum marynarzy wyległ na pokład i powoli, popychając jeden drugiego, sunął w kierunku rufy.

— Ej, wy!—krzyknął zgóry korsarz — co was się taka gromada zebrała? Skąd wzięliście te karabiny?!

Na dźwięk głosu groźnego kapitana zbuntowana załoga stanęła jak wryta. Lecz .czarny, który podburzał marynarzy, wystąpił naprzód i zawołał:

— Zawracaj na Maderę, kapitanie! Nie chcemy ginąć!

Korsarz skierował lufę rewolweru w jego stronę

— Więc bunt?! — krzyknął groźnie.

— Bunt! — nieludzkim głosem wrzasnął czarny.

Dwa ogniki wystrzałów raz po raz buchnęły w ręku korsarza. Ciało jakieś runęło ciężko na desk pokładu.

— Chować się!—ryknął czarny, oddając strzał karabinowy w kierunku rufy — chować się! Za maszty! Do waterwejsów! Za szalupy! Szybko! szybko!

Nim rozpierzchł się tłum, zajmując ukryte stanowiska, jeszcze pięć razy błysnął strzałami mauzer groźnego kapitana, i w wycie coraz bardziej szalejącej wichury wmieszały się jęki trzech rannych i straszliwy charkot umierającego, trafionego w samo serce kulą korsarza.

— Poddacie się, psy?!—krzyknął groźny kapitan, wychodząc z ukrycia swego za bezań-masztem.

— Ty się nam poddaj, morderco!—wrzasnął czarny, schowany za grota lukiem—ognia!—krzyknął do towarzyszy.

Z różnych stron statku zatrzeszczały strzały karabinów. Kule świsnęły koło głowy korsarza. Znów ukrył się za bezań-masztem. W drugiem ręku jego w blasku rzęsistych wystrzałów, trzaskających sucho w powietrzu, zalśniła długa lufa parabellum. Otworzył ogień z dwóch rewolwerów naraz. Celował w kierunku, skąd słyszał głos czarnego. Wiedział, że jeśli zginie przywódca, bunt zgaśnie w jednej chwili. Kule jego biły jak grad w brezent, przykrywający grota luk, za którym ukryty był czarny.

Lecz ten był ostrożny i nie wysuwał głowy poza krawędź luku, strzelając z karabinu naoślep w kierunku rufy.

Tak samo robili i inni buntownicy. Zresztą ciemności, zalegające pokład, i gwałtowne kołysanie się statku uniemożliwiały celne strzały. Tem niemniej jednak stalowa kolumna bezań-masztu pokryła się wkrótce głębokiemi rysami bijących w nią kul. Raz

po raz głuszone wyciem wichru w olinowaniu trzaskały wystrzały rewolwerów groźnego kapitana. Jednak po pięciu minutach strzelaniny, gdy ciepło rozgrzanych od ciągłych wystrzałów luf zaczęło parzyć mu dłonie, korsarz przerwał kanonadę.

— Trzeba—mruknął do siebie—oszczędzać amunicji, bo niedługo jej zabraknie.

Stał ukryty za masztem, obserwując z pod zmarszczonych brwi błyski strzałów w ciemnościach. Raptem myśl jakaś jak strzała przeszyła umysł jego.

Odwrócił się gwałtownie do steru.

— Żyjesz?!—krzyknął głosem, w który nieznacznie wmieszała się nitka niepokoju.

— Steruję, kapitanie!—doleciał jego uszu przygłuszony okrzyk malca.

— Żyje...—z ulgą odetchnął korsarz.—Steruj dobrze, szczeniaku, bo kula w łeb!—krzyknął groźnie.—Nord-Ost ciągle trzymaj!

Spojrzał wgórę na żagle. Na szczęście wiatr więcej nie odchodził i nie było potrzeby robienia zwrotu.

— W kilka godzin muszę stłumić ten bunt—pomyślał — bo przyjdzie wreszcie szkwał, a my, zajęci walką, nie zwiniemy żagli. Maszty połamie. Zginiemy.

Spojrzał na zegarek. Była godzina pierwsza w nocy.

— Przed świtem jeszcze muszę ich zgnieść—pomyślał znowu — bo jak będzie widno, trafią mnie wkońcu, a wtedy żegnaj na wieki, dzieło całego mojego życia. Muszę ich zwyciężyć jeszcze przed świtem.

Sam uśmiechnął się do myśli swojej. Niepodobieństwem się wydawało, by jeden człowiek, uzbro-

jony w dwa rewolwery, zmusić mógł do poddania się tłum, zbrojny w karabiny. Czuł jednak, że zwycięży.

— Ludziom takim, jak ja, ludziom silnym los sprzyja — pomyślał — nie odwróci się fortuna odę mnie, gdy już tak bliski jestem celu. Zwyciężę.

Zamilkły nagle wystrzały karabinów.

— Zabity!—posłyszał głos czarnego — nie strzela już! Naprzód! Na rufę!

Poruszyły się cienie w ciemności. Ostrożnie, pomacku iść zaczęły do schodni prowadzącej na rufę.

Groźny kapitan pr yczaił się za bezań masztem. Czekał. Nareszcie postać jakaś zamajaczyła tuż przy nim. Wtedy huknęły nagle rewolwery gr źnego kapitana. Rozległ się bolesny ok zyk, i marynarz, co pierwszy wdarł się na rufę, runął na pokład z roztrzaskaną kulami głową. Wślad za pierwszemi dwoma posypały się wystrzały serjami. Korsarz stanął na schodni i z dwóch rewolwerów palił raz po raz w kierunku rozpierzchających się cieni. Za kilka sekund odezwały się znów grzechoty salw karabinowych.

Groźny kapitan uczynił krok w kierunku bezańmasztu, gdy wtem lewą rękę jego poniżej łokcia przeszył dotkliwy ból. Rewolwer wypadł z bezwładnej dłoni. Po palcach kroplami ściekała krew.

— Do djabła—gniewnie mruknał korsarz—zranili mnie te ścierwa.

Uskoczył czem prędzej za maszt i mauzer w prawej dłoni jego buchnął raz po raz strzałami.

Ostry bói jednak w ranionem ręku zmuszał go co chwila do zaprzestawania kanonady i ściskania

zębów, żeby nie krzyczeć. Wielki palec lewej dłoni jego zwisał, brocząc krwią, na strzępie skóry, odcięty kulą Krew już nie kroplami, lecz ciurkiem lała się na pokład.

W pewnej chwili poczuł groźny kapitan, że słabnie. Opanował się jednak. Mauzer znów buchnął serją strzałów, skierowanych do grota luku, skąd do uszu jego dolatywał głos komendy czarnego.

Nagle czerwone i zielone koła zawirowały w szalonym pędzie przed oczyma rannego. I gdy rufę „Krymu", uniesioną gwałtownie potężnym bałwanem wgórę, cisnęło wściekłym rzutem wdół, groźny kapitan padł na pokład.

— Czyżbym przegrał?—pomyślał jeszcze, padając.

Leżąc już, nabijając rewolwer i oddając strzały mdlejącą ręką, walczył uporczywie z ogarniającą go słabością.

— Czyżbym przegrał? — powtarzał ciągle wykrzywionemi od bólu wargami.

Raptem twarz jakaś zamajaczyła nad nim.

— Ty żyjesz, tatusiu? —posłyszał nad sobą.

Ranną dłoń jego ujęły ręce chłopięce.

— Ty żyjesz, tatusiu, tylko ranny jesteś, prawda? — chłopiec szmatą jakąś obwiązywał mu ranę, tamując upływ krwi.

— Idź do steru, szczeniaku!—z wysiłkiem krzyknął w twarz chłopca groźny kapitan — z kursu zejdziemy! Idź precz ode mnie! Sam sobie dam radę! Nord-Ost ciągle steruj!

— Zaraz, zaraz! — zawołał chłopiec radośnie, słysząc gniewny głos kapitana.

Dociągnął ostatni węzeł szmatki na ręku korsarza i pobiegł do steru.

Groźny kapitan z wysiłkiem, sycząc od bólu, doczołgał się do schodni, by stąd razić kulami pozycje buntowników.

Nagle szmer jakiś posłyszał za sobą. Obejrzał się szybko. O parę kroków zaledwie od siebie ujrzał rosłą postać czarnego, przyczajoną za kabestanem z karabinem w ręku.

— Cześć, kapitanie!—wrzasnął drab.—Nie puściłeś mnie do siebie po schodni, to dostałem się tutaj górą po bezań-sztagu!

Korsarz dał gwałtownie naoślep kilka strzałów do buntownika. Tamten skulił się za kabestanem. Szyderczy śmiech jego zabrzmiał złowrogo.

— Chybiłeś, kapitanie! — zawołał.

Lufa karabinu wysunęła się z poza kabestanu i swym czarnym wylotem zajrzała w oczy groźnego kapitana.

— Czyżbym przegrał? — przeleciało błyskawicą w umyśle korsarza.

Lecz nim padł strzał, zaszło coś, co, krew w żyłach ścinając, unieruchomiło na chwilę wszystkich na okręcie.

Statek gwałtownie przechyliło wbok. Jednocześnie na pokład runęły masy wody, druzgocząc i zmywając wszystko, co napotkały na swej drodze. Wgórze rozległ się huk jakby armatniego wystrzału, i widmo jakieś białe oderwało się od wierzchołka fok masztu i uleciało w czerń nocy.

To poszedł w strzępy fok-bom-bram żagiel, rozdarty na strzępy potężnym, nieprawdopodobnym

wprost porywem wichru. Przyszedł nareszcie szkwał, którego oczekiwał groźny kapitan.

Ludzie, zbici falami z nóg, porzucali broń i taczali się po pokładzie, rzucani od burty do burty potokami skłębionej w potworne wiry wody. Strzały ustały. Nikt już nie myślał o walce w obliczu ogólnego groźnego niebezpieczeństwa. Położenie okrętu było straszne. Przewrócony na bok gwałtownym porywem wichru, pięciokroć silniejszym od wszystkich poprzednich, tłuczony olbrzymiemi grzywiastemi bałwanami, nie mógł podnieść się z toni, póki stały żagle na masztach.

Ratunek zależał od tego, czy zostaną one wporę zwinięte, czy nie. I w krytycznej tej chwili, gdy zdawało się, że już niema ratunku, gdy powierzchnia pokładu znikła zupełnie w pianach przelewających się przez nią fal, poruszyła się raptem w wężowych skrętach stalowej sprężyny żelazna wola groźnego kapitana. Nadludzkim wysiłkiem, przezwyciężywszy słabość od zadanej rany, dźwignął się z pokładu i stanął na nogi. Co chwila przewracany uderzeniami bijących gwałtownie w statek taranów wody, wszedł po drabince na kapitański mostek. Jednym rzutem oka ocenił położenie.

— Załoga!—krzyknął głosem, od którego pękają płuca — Do pracy! Wachta na wanty! Na reje! Nadwachta luzować gejtawy i gordingi bramu, m rsli grot masztu! Podwachta luzuje gejtawy i gordingi fok masztu! Żagle zwijać! Piorunem!

Głos jego górował nad rykiem rozszalałej burzy.

Na dźwięk głosu kapitana załoga oprzytomniała i rzuciła się do lin i żagli. W mgnieniu oka, pracu-

jąc pod uderzeniami fal, pozrzucano z nagli liny gejtaw i gordingów. Marynarze służbowej wachty pięli się wzwyż po wantach, odrywani od szczebli wściekłym naporem powietrza pędzącego orkanu.

Groźny kapitan zbiegł z mostku i ujął szprychy sterowego koła w swą twardą dłoń.

— Prędzej, chłopcy, prędzej — krzyczał — prędzej, bo zginiemy!

Nie trzeba było popędzać załogi. Marynarze pracowali z pośpiechem, zapierającym dech w piersiach. W pięć minut po wezwaniu robota na pokładzie była skończona, gejtawy i gordingi zluzowane. Wszystko zależało teraz od tych, co poszli zwijać żagle na rejach.

— Ej! — krzyknął groźny kapitan, ujrzawszy czarnego — stawaj na ster!

Drab posłusznie ujął w ręce szprychy szturwału.

— Steruj Nord-Ost! — rzucił mu rozkaz korsarz i wbiegł na kapitański mostek.

Wzrok wytężony skierował wgórę na reje, gdzie z nadludzkim wysiłkiem pracowała wachta.

— Byle tylko zdążyli zwinąć żagle, nim się statek zupełnie przewróci — pomyślał.

Na rejach wrzała gorączkowa, w śmiertelnym pośpiechu prowadzona robota. Stojąc wskutek nienaturalnego położenia statku w niewygodnych pozycjach na chyboczących się stalowych linach, marynarze wpijali się skrwawionemi palcami w wyrywające się z rąk grube płótniska żaglowe i szarpali je do siebie, odchylając się wtył. Robota szła opornie. Pęd powietrza huraganu wyrywał szamocące się zwoje płótnisk żaglowych z rąk pracujących. Mary-

narze zębami trzymali się za liny sejzingów, żeby nie runąć w przepaść. Jednak po kwadransie roboty zwinięty został bram-żagiel grot masztu.

W tym samym czasie spadły sztaksle, ściągnięte linami z pokładu. Z trójkątnych żagli zostały tylko szliwry.

Okręt drgnął i wyprostował się. Jednocześnie poczuli wszyscy, że huragan stracił na sile. Jak nagle przyszedł szkwał, tak nagle minął. Burza, zakończona szkwałem, zaczęła słabnąć.

Tymczasem na pokładzie groźny kapitan zebrał wachtę i nadwachtę przy grota luku. Karabiny, złożone w kupę, leżały przy grot maszcie.

Skinął na dwóch marynarzy, stojących najbliżej niego.

— Zebrać broń i złożyć do triumu — rzucił im rozkaz — zabić wejście do triumu deskami tak, jak było poprzednio. Iść już!

Marynarze wykonali rozkaz. Broń zebrano i schowano do triumu pod wylotem lufy rewolweru korsarza. A gdy promienie wschodzącej jutrzenki oświeciły wzburzony, lecz spokojniejszy już ocean i wachta po skończonej pracy na rejach zeszła wdół, bunt był stłumiony.

Groźny kapitan ustawił załogę w szeregu.

— No, cóż— spytał, nie wypuszczając rewolweru z dłoni—chcecie jeszcze zawijać na Maderę? Chcecie dalej buntować się?

Załoga ponuro milczała, patrząc bojaźliwym wzrokiem na swego kapitana.

— Tak—rzekł korsarz—wygrałem tę walkę z wa-

mi. Przegraliście. Burza zwyciężyła was, a ja zwyciężyłem burzę.

Marynarze, u których po wielkiem napięciu nerwów i sił nastąpiła reakcja, milczeli, chwiejąc się ze znużenia na nogach.

— A teraz—rzekł znów groźny kapitan—nastąpi doraźny wymiar sprawiedliwości.

— Szczeniak!—krzyknął do malca, stojącego zboku—leź na saling, postoisz tam sobie dwie godziny za karę, żeś rzucił ster, co w niemałym stopniu mogło być przyczyną awarji na wanty!

Przeprowadził wzrokiem małą figurkę chłopca, pnącą się wzwyż, i spuścił zeń oko dopiero wtedy, gdy sylwetka jego ukazała się na salingu.

Wtedy spojrzał twardo, surowo wprost w tłum.

— Ty — wskazał jednego marynarza — pójdziesz na ster i zmienisz czarnego. Jego przyślij tutaj.

Marynarz odszedł na rufę.

Groźny kapitan zwrócił się do tłumu stojącej w milczeniu załogi.

— Prawo korsarskie—rzekł—twardsze jest jeszcze od prawa morskiego. Podżegacz do buntu ponieść musi karę.

Po chwili przed groźnym kapitanem stanął czarny.

Był blady. Trząsł się ze strachu. Pomimo wysiłków nie mógł ukryć drżenia kolan. Wzrokiem błagalnym patrzał w surowe źrenice korsarza.

— Wziąć go!— rzucił przez zęby groźny kapitan.

Dwóch marynarzy chwyciło podżegacza za ręce. Nie opierał się. Zapadło milczenie i słychać było wyraźnie huczenie wichru w wantach i olinowaniu.

Korsarz w zamyśleniu opuścił głowę na piersi,

po chwili dopiero podniósł nieubłagany wzrok na wroga. Ręką powoli wskazał reję bom-bramu na fokmaszcie.

— Powiesić! — rzekł dobitnie lodowatym głosem groźny kapitan do trzymających buntownika marynarzy.

Ciałem skazańca wstrząsnęła febra. W gardle zaschło, nogi zaciążyły ołowiem, w dołku poczuł nieznośne ściskanie. Zamknął się w sobie, znieczulił jakoś. Zwrócił uwagę na to, że pokład statku unosi się wgórę i opada wdół, od czego wydaje się, że wzburzona powierzchnia oceanu, to ukazująca się, to niknąca za burtą, tańczy jakiś niesamowity kolebiący się taniec.

— Jakie to dziwne — pomyślał.

Zaraz jednak złapał siebie na tej myśli.

— Co mi za bzdury do łba przychodzą—przeleciało mu przez głowę—przecież umrę zaraz. Boże, stracę życie za chwilę! — błysnęło w jego przyćmionej strachem świadomości — zgroza!

Kolana ugięły się pod nim. Chciał paść na pokład i błagać groźnego kapitana o przebaczenie. W tej samej chwili jednak uprzytomnił sobie, że to na nic się nie zda. Siłą woli zmusił siebie do stania nadal.

— Prowadzić — rzucił rozkaz groźny kapitan.

Marynarze wzięli go krzepko za ręce i podprowadzili do want. Jeden z nich wszedł pierwszy na szczeble, drugi popchnął czarnego i sam wspinać się zaczął ztyłu. W ręku tego, co szedł zprzodu, skazaniec zauważył cienką linkę.

— To dla mnie — pomyślał.

Ni stąd, ni zowąd interesować go zaczęła ta linka. Przeliczył ilość pokrętek.

— Trójpokrętkowa — mruknął pod nosem.

Przed dojściem do marsa stwierdził już, że linka jest smolona.

— Smolona — mruknął znów — miękka, dobrze się owinie dokoła szyi.

I raptem, gdy uświadomił sobie, że za chwilę linka ta zacznie go dusić i udusi na śmierć, obrzydzenie jakieś potworne do wszystkiego otaczającego ogarnęło jego jestestwo. Znów poczuł suchość w gardle i przykry smak na języku. Z trudem, jakby dźwigał ciężar nieznośny, przesuwał nogi. Wiedział, że z każdym nowym szczeblem, na którym stanęła jego noga, zbliża się chwila śmierci. Droga wzwyż zaczęła mu się dłużyć niepomiernie i stawać męczącą. Dłonie pociły się i drżały na stalowych linach want. Gdy stanęli na salingu, męka oczekiwania była już nie do zniesienia.

— Prędzej—rzekł chrapliwym głosem—skończmy już z tem.

Eskortujący, milcząc, podsadzili jego zaczynające już słabnąć ciało na szczeble bram-steń-want.

— Skończmy już z tem... skończmy — charczał skazaniec, z wysiłkiem pnąc się wzwyż.

Blade śmiertelnie wargi jego trzęsły się jak w febrze.

Gdy minęli bram, poczuł, że nie wytrzyma już dłużej. Spojrzał mimowoli wdół. Przed oczyma jego otworzyła się przepaść, na dnie której widniała mała łupinka statku, po której poruszały się sylwetki lu-

dzi, wielkości chrabąszczy. Potęga otchłani pociągnęła go ku sobie.

— Skoczę!—błyskawicą przeleciało w jego umyśle—trzeba raz skończyć z tą męką.

Zrzucił nogi ze szczebli, zwisł na rękach.

— No!—krzyknął marynarz, idący za nim —trzymaj się mocniej!

Skazaniec rozwarł dłonie, lecz w tejże samej chwili zacisnął je znów kurczowo. Jęk bolesny, z głębi wnętrza dobyty, zacharczał w jego gardle. Uświadomił sobie, że nie przezwycięży swych zaciśniętych naokoło szczebla palców.

Raptem pobladły myśli i uleciały gdzieś precz. Świadomość się przytępiła, głowa zrobiła się dziwnie lekka i pusta jak bania. Dłonie rozwarły się same. Poczuł lodowaty chłód pod sercem, a w uszach świst wiatru.

Ciało głucho stuknęło o deski pokładu. Mózg z roztrzaskanej czaszki prysnął na stojących wpobliżu marynarzy. Krew ciemną strugą bluznęła z ust zabitego.

— Kto spadł? — krzyknął groźny kapitan do marynarzy, którzy podbiegli do trupa.

— Czarny!—odkrzyknięto chórem— nie żyje już!

— Wyrzucić to ścierwo za burtę—spokojnie rzekł korsarz — podżegaczom do buntu pogrzebu się nie sprawia,

Na śródokręciu, obszyte w grube żaglowe płótno, na środku którego widniał czarny krzyż, nakreślony węglem, leżały na deskach zwłoki trzech zabitych w czasie buntu marynarzy. Naokoło zebrał się tłum towarzyszy.

Groźny kapitan dał znak ręką. Deski podniesiono z pokładu i oparto na relingu burty w ten sposób, że nogi z uwiązanym do nich kamieniem zwisały nad wodą. Marynarze obnażyli głowy. Przed tłum wystąpił groźny kapitan i też zdjął kapuzę. Przeżegnał się. Głosem cichym, lecz wyraźnym, odmówił modlitwę.

— Wieczny odpoczynek racz im dać Panie — zakończył.

Przechyliły się deski, uniesione ramionami marynarzy, i trzy trupy cicho plusnęły za burtą, pochłonięte falami.

„Krym” kołysał się lekko na krótkiej fali, przymocowany holami do mola portu Sebastopola. Pokład był pusty. Załoga cała udała się na ląd i rozlazła się po knajpach i szynkach. Na śródokręciu sterczała tylko postać sztafutowego. Rufę przemierzał szybkiemi krokami groźny kapitan.

— Nareszcie — myślał — jestem już prawie u celu. Jestem na Krymie. Od jutra już płatni agenci moi rozpoczną propagandę powstańczą po wioskach tatarskich. Broń jest. Dwa tysiące karabinów i amunicję do nich mam tu pod pokładem. Jeszcze pięć tysięcy karabinów posiadam na innych statkach moich, stojących w Teodozji. W górach Sudagu armaty. Pięciuset ludzi załóg moich okrętów wystarczy narazie do prowadzenia walk partyzanckich. Później przyłączy się ludność tatarska. Przekupione załogi dwóch bolszewickich pancerników opanują je i oddadzą pod moje rozkazy. Potężne działa olbrzymów morskich zdobędą Sebastopol. Wtedy już wybuchnie

powszechne powstanie ludności tatarskiej. A gdy będę miał Krym w swojem ręku, rozwinie się nad nim i załopocze na wietrze czerwono-biała bandera!

Nagle przed korsarzem wyrosła postać „szczeniaka“.

— Co tu robisz?—spytał go gniewnie groźny kapitan.—Poco się kręcisz po pokładzie? Kazałem ci przecież iść precz ze statku.

— Mam prośbę do ciebie, kapitanie — wyjąkał malec.—Pozwól mi zostać z sobą na statku.

— Powiedziałem ci już raz — rzekł surowo korsarz—że zostałeś wypisany z listy załogi. Niema dla ciebie miejsca na pokładzie.

W oczach chłopca błysnęły łzy.

— Nie mogę, nie mogę odejść od ciebie, kapitanie — zapłakał.

Groźny kapitan zmierzył go piorunującem spojrzeniem.

— Idź precz! — krzyknął z wściekłością — zejdź raz nareszcie z moich oczu!

Chłopak zbladł.

— Nigdy stąd nie odejdę — rzekł głucho — chyba, że mnie zabijesz, kapitanie.

— Rozkazu nie słuchasz, szczeniaku!? — spytał przerywanym wściekłością głosem groźny kapitan. — Ja tu rozkazuję na pokładzie. Idź precz, mówię ci!

— Ojcze! — załkał mały — nie odpędzaj mnie!

Skurcz bolesny wykrzywił twarz groźnego kapitana.

— Gadzino! — ryknął nieswoim głosem — czy zawsze będziesz stawać mi na drodze do celu?!

Potężny cios pięści korsarza, wymierzony w pierś, powalił chłopca na ziemię.

I jak tylko malec padł, ze środka tłumu, wałęsającego się po molu, rozległ się duszę rozdzierający krzyk:

— Morderco! Odpokutujesz ciężko, tyranie, za nasze krzywdy!

Groźny kapitan drgnął. Słyszał już kiedyś ten głos. Podbiegł do burty, przylegającej do mola.

W środku tłumu ujrzał parę czarnych oczu, z nienawiścią śmiertelną utkwionych w niego.

Rzucił się do trapu, chcąc odnaleźć tego, który krzyknął przed chwilą. Wbiegł na molo.

— Kto tu wrzeszczał? — zwrócił się do zalegających przystań gapiów.

— At, baba jakaś — odpowiedziano mu niechętnie — uciekła już. Warjatka pewnie, bo oczy miała jakieś dziwne.

Groźny kapitan w zamyśleniu głębokiem wrócił na pokład. Gdy wszedł na rufę, ujrzał „szczeniaka", ciężko dźwigającego się z pokładu.

— Idź precz stąd — rzucił mu przez ściśnięte zęby — żeby cię więcej oczy moje nie widziały!

Północ. Kajutę groźnego kapitana zalega ciemność i cisza. Spokój mąci tylko tykanie mosiężnego zegara, przykręconego do ściany, ciche szemranie fal za okrągłą szybą iluminatora i równy, spokojny oddech śpiącego korsarza.

Ostrożnie uchyliły się drzwi, i ciemna główka „szczeniaka" ukazała się w otworze, w świetle, co

wdarło się do kajuty wślad za nim od latarń okrętowych na pokładzie.

Chwilę nasłuchiwał.

— Śpi tata — szepnął cichutko malec i jak kot na palcach wślizgnął się do środka, drzwi zamykając za sobą.

W ciemnościach, które znów zaległy, na palcach, bez szmeru podszedł do kojki, na której spał groźny kapitan.

Pochylił się szybko i mocno, gorąco ucałował rękę korsarza, przez sen ściśniętą w pięść.

— Czemu mnie odpędzasz od siebie, tatusiu? — wyszeptał malec.

Łzy jak groch potoczyły mu się po policzkach, kapiąc na twarz śpiącego.

Nie obudził się groźny kapitan. Spał dalej, a oddech jego był równy i spokojny.

Chłopiec westchnął i odszedł od kojki.

— Pobędę jeszcze chwilkę z tobą, tatusiu — wyszeptał — a później pójdę już sobie, skoro tak mi każesz.

Położył się na małej kanapce, stojącej po przeciwległej ścianie od kojki, na której spał groźny kapitan. Ciężkie, smutne myśli owiały główkę chłopca.

Oto odejść musi od ojca, którego pokochał, którego ubóstwia. Żegna się z nim na zawsze. Tak przecież powiedział on sam, groźny kapitan, którego słowo jest prawem niezłomnem. Porzucić też musi teraz pokład „Krymu”. Skończyło się dlań życie morskie. Twarde, surowe życie, lecz jakże bujne, ciekawe, obfite w przygody. Jakże słodkie nawet, pędzone wpobliżu człowieka, którego się kocha i do któ-

rego się czuje kult. Inne teraz życie zacznie się przy boku matki. Życie, którego szare pasmo uwite będzie ze wstydu, poniżeń, mąk i brudów moralnych i gniotącej tęsknoty za ojcem.

— Lepiej już umrzeć, niż żyć tak, jak dawniej — wyszeptał chłopak.

Spazm suchy chwycił go za gardło. Przypomniał sobie kołysankę, którą mu matka śpiewała, gdy był jeszcze zupełnie mały.

„...A gdy się ze snu dzieciństwa obudzisz i, oczy przetarłszy, krzykniesz rozpaczliwie, prawdę straszliwą ujrzawszy, niech pociechą będzie ci myśl, że nastąpi znów kiedyś sen mocny, sen wieczny, z którego cię już nikt nie obudzi...” — powtórzył w myśli słowa piosenki.

— Och, żeby już zasnąć tak prędzej — załkał — ciężko mi. Żyć się nie chce.

Raptem szmer jakiś przy drzwiach doleciał jego uszu.

— O, Boże — pomyślał — na pewno bosman. Znów mnie tu złapią i zbiją,

Skamieniał, zamieniwszy się cały w słuch. Szmer się powtórzył. Słychać było całkiem wyraźnie, jak ktoś, stojąc pod drzwiami kajuty, oddychał szybko, nerwowo. Szczęknęło coś metalicznie, a następnie dał się słyszeć skrzyp klamki. Drzwi otworzyły się lekko, chłopiec wytężył wzrok.

Nagle przerażenie bezgraniczne ogarnęło całe jego jestestwo. W otworze drzwi, w mętnych, migotliwych blaskach, padających z pokładu, ujrzał lśniącą lufę rewolweru, skierowaną w głąb kajuty.

— Boże — błyskawicą przeleciało mu w myśli — znów bunt. Przyszli zabić ojca.

— Kapitanie! — zawołał od drzwi jakiś zachrypły, drżący głos kobiecy — Kapitanie!

Na dźwięk tego głosu chłopiec zwinął się w kłębek jak przeszyty strzałą.

— Matka! — niemal wykrzyknął myśl, co raptem jak obuchem weń uderzyła — Matka! Zabije ojca!

— Kapitanie! Kapitanie! — znów rozległ się okrzyk przy drzwiach.

Lufa rewolweru niepewnym ruchem zataczała linję w powietrzu, nie wiedząc, w jakim kierunku posłać mordercze kule.

Ciemność zalegała kajutę.

— Kapitanie! Kapitanie! — rozległ się po raz trzeci niecierpliwy już okrzyk.

Wówczas jedna tylko myśl powstała w umyśle chłopca: ratować ojca, ratować ojca za wszelką cenę, choćby sam zginąć miał przytem. Uświadomił sobie, że za chwil kilka zbudzony krzykiem korsarz zerwie się z kojki, a wtedy...

— Kapitanie! Kapitanie! — ten krzyk już na pewno zbudził korsarza, gdyż kojka jego skrzypnęła lekko. W tejże samej chwili jednak z kanapy, na której leżał chłopak, rozległo się jego sapanie i umyślnie zgrubiały głos:

— Nooo?!!

Lufa rewolweru zdecydowanie i szybko odwróciła się od skrzypiącej kojki i błysnęła w jego kierunku.

Powietrzem targnął głośny strzał. Ból ostry przeszył piersi malca. Jęknął głucho. Za pierwszym

strzałem nastąpił drugi i trzeci. Nie chybił żaden. Krew buchnęła z ust chłopca.

— Giń, krzywdzicielu — krzyknęła kobieta — giń, psie, z ręki twej ofiary!

Huknęły jeszcze dwa strzały. Ciało chłopca zsunęło się z kanapy na linoleum kajuty.

— Ach dosyć... dosyć... — jęknął głucho — dosyć już strzelać... ja już umieram... mamusiu... pogódź się z ojcem... mamusiu... tak mi źle... mamusiu...

Kobieta z rozdzierającym duszę krzykiem przypadła do syna. Pocałunkami pokrywała jego twarz, krwią zbroczoną. Nie zauważyła, jak na odgłos strzałów zerwał się z kojki groźny kapitan i stanął nieruchomo jak posąg na środku kajuty.

— Przebacz mi, przebacz mi, synu! — wołała, łkając, matka — nie ciebie chciałam zabić! Wiesz przecież! Czy żyjesz jeszcze?! Czy żyjesz, mój synku najdroższy?!!

Nic już nie odpowiedział jej syn. Przyłożyła ucho do serca. Nie biło. Ciało leżało bezwładnie w kałuży krwi. Szklane źrenice patrzyły tępo na matkę. Nie żył. Nastąpił wreszcie „sen mocny, sen wieczny, z którego się już nikt nie obudzi".

Oszalała z bólu kobieta trząść zaczęła ciałem zabitego.

— Odezwij się! Odezwij się, synku! — błagała — przemów coś!

Lecz syn milczał, obojętny już i zimny na ból matki.

Wówczas znów ujęła kolbę leżącego na podłodze rewolweru. Szybkim ruchem wsunęła go w usta. Huknął strzał. Trup matki legł obok zwłok syna

Groźny kapitan padł na kolana przy zwłokach kochanki i syna. W ciszy, mąconej tylko szmerem padających na podłogę kropel krwi, rozległ się głuchy głos jego:

— Skończone! Już wszystko skończone! Zginęliście wy, a wraz z wami zginęło dzieło życia mojego. Kochałem was zawsze. Kochałem z całych sił mojej duszy. Wyrzekłem się jednak waszej miłości, bo żyjąc z wami i mając myśl zaprzątniętą pożyciem rodzinnem nie mógłbym pracować nad mojem dziełem Mogłem jednak pracować, wiedząc, że jesteście żywi. Teraz, gdy zginęliście tu, na oczach moich, przepadło dzieło mego życia. Nie mogę już nad niem pracować, wiedząc, że ono was zabiło. Złamaliście mnie. Za słaby jestem na to, by znieść wizję waszych martwych ciał, która zjawiać się będzie zawsze i nieodłączną się stanie od myśli o ziszczeniu mych marzeń młodości. Zginęliście, a wraz z wami zginęło dzieło całego życia mojego, Niepotrzebny już jestem światu. Zejdę zeń i osiądę gdzieś w zapomnieniu, gdzie żyć będę myślą, co mnie czyniła silnym i potężnym aż do chwili obecnej.

Wstał z kolan groźny kapitan, podszedł do stołu. Papiery jakieś wyjął z szuflady i do kieszeni surduta schował. Wyszedł z kajuty na pokład i drzwi zatrzasnął za sobą. Podszedł doń bosman.

— Kapitanie — rzekł cicho — przyszli marynarze z pancernika, chcą coś powiedzieć.

— Nie trzeba — odrzekł groźny kapitan. — Już nie trzeba — powtórzył.

Skierował się do trapu. Zeszedł na molo. Zdumiony bosman podszedł do burty i patrzał mu wślad

Potężna sylwetka groźnego kapitana długi czas czerniała w blasku latarń portowych, aż zginęła w mroku.

I nikt go już więcej nie widział.

Na szczycie Ałczaku, najdzikszej góry ze wszystkich gór Krymskich, mieszka pustelnik, co niegdyś zwał się „groźnym kapitanem".

Na ścianie skały, zwisającej nad wejściem do pieczary, w której mieszka pustelnik, wyryty jest napis.

Jest tam podana długość i szerokość geograficzna, pod którą na dnie morza Czarnego spoczywają skarby, zgromadzone przez groźnego kapitana. W pieczarze, w najciemniejszym jej kącie schowane są plany strategiczne opanowania Krymu przez powstańców tatarskich.

Obłąkany umysł starca, zwichnięty nadludzkiem cierpieniem, myśl uporczywa nurtuje.

Myśl o tem, że tu do niego, na szczyt Ałczaku, przyjdzie człowiek jakiś, genjusz, silniejszy jeszcze od niego, który zabierze plany, w pieczarze schowane, i dokona dzieła, które rozpoczął człowiek, zwany „groźnym kapitanem".

Jednak mija czas, i nikt nie przychodzi.

Oko starca od lat już nie widzi człowieka, nie słyszy głosu ludzkiego. Kraczą tylko orły nad głową, i wichry górskie wyją pieśń żałobną o kochance jego umarłej i synu, których kochał.

Pieśń żałobną wyją wichry w załamach skalnych o dziele życia jego, które zginęło bezpowrotnie.

BUTY BOSMANA CAPA

Piękne buty miał gruby bosman Cap. Wysokie, z cholewami za kolana. Nieprzemakalne, podbite były od wewnątrz podwójną warstwą rybiego pęcherza. Coprawda, stare to były buty i już wyrudziałe od ciągłego stykania się z wodą morską. Kiedyś, oczywiście, kiedy kupował je jeszcze wysmukły sternik Cap, były one nowe i nie miały tego rudego połysku. Dawno to było. Gruby bosman Cap nie pamięta swych butów nowemi. Na wewnętrznej stronie cholewy prawego buta było dwanaście szerokich rys, zrobionych nożem. Pamiątki dwunastu orkanów morskich, jakie przeszedł Cap w swojem życiu. Po każdym sztormie, w czasie którego nikt nie wątpił, że stanie się żerem dla rekinów i krabów, Cap robił nożem nacięcia na prawej cholewie. Gdy liczba tych nacięć przekroczyła pięć i czarny ich blask silnie zmatowiał, dziwnie zrobiły się drogie te buty dla Capa. Tyle już z nim niebezpieczeństw, burz i niepogód przebyły, tyle już razy miały tonąć, znajdując się u właściciela na nogach. A ileż wspomnień łączy bosmana z tą parą nieprzemakalnych rudych butów.,

Ot i teraz, gdy każdy obrót potężnych śrub „Lewiatana" przybliża i zwiększa mgliste z początku zarysy pagórków, okalających Cherbourg, nawał wspomnień, cisnących się do siwej głowy bosmana Capa, wysuwa na pierwsze miejsce tę parę starych zaginionych butów. Lecz niedługo utrzymują się one w jego wyobraźni. Przez dziwne skojarzenie ogniw łańcucha wspomnień z poza pary butów ukazują się błyszczące czarne oczy, figlarnie zadarty nosek, rozchylone różowe usteczka, białe, troską jakąś zachmurzone czoło i fale bujnych ciemnych włosów.

Mgłą zadumy powlekły się siwe oczy bosmana, Usiadł na knechcie i, ręce splótłszy na wielkim brzuchu wpatrzył się w zbliżający się obraz Cherbourga.

Z każdem sapnięciem potężnych maszyn statku, z każdym obrotem jego śrub brzeg się przybliżał wyraźniej zarysowywały się jego kontury, a z każdą nową kreską, zjawiającą się na panoramie brzegowej, z każdą nową barwą murów miasta przybywały wspomnienia, uczucia, dawno wygasłe, poruszenia duszy, od lat już zmarłe.

Wstał bosman z knechta, podszedł po burty. Oparł się łokciami, wzrok wbił w toń morską. Szumiały fale koło burt „Lewiatana". Lecz szum fal, kojący zawsze zgryzoty Capa, również nasuwał wspomnienia. Szumią fale wszędzie jednakowo. We wszystkich częściach świata, w których obijał się stary bosman, szumiały jednakowo. Jedynie tu, koło brzegów Cherbourga szumią jakoś szczególnie. Tak samo, jak wtedy przed piętnastu laty. Czyżby to było tak dawno? Bosman Cap nie pamięta dokładnie. W każ-

dym razie więcej niż czternaście lat. Czternaście lat już pływa gruby Cap na „Lewiatanie".

Czternaście lat... jak dawno, psiakrew, Carramba! Długi ten okres czasu nie zatarł w pamięci ani jednego jej rysu, ani jeden fałszywy ton nie wkradł się w dźwięk jej głosu, brzmiący teraz w duszy.

Gruby bosman wstrząsa niecierpliwie głową, odpędzając nadlatujące wizje.

Daremny trud. Opadły chmarą całą i cisną się do głowy. Ot i szczurowaty łeb mata wstaje gdzieś z głębin i mroków duszy, rośnie, wydostaje się nazewnątrz i najwyraźniej ukazuje się obok arsenału, stojącego na brzegu. Cap odwraca się od arsenału i wlepia oczy w pasażerskie molo. Lecz tam znów widzi nienawistnego mata, jak trzyma wpół wyrywającą się z jego rąk piękną Ninette.

Gruby bosman spluwa z pasją. Niema rady. Niechże długi korowód widm dawnych dziejów przewinie się przed oczami jego duszy. Wszystko. Od początku do końca.

A więc tak,.....

Smukły trzydziestoletni sternik Cap siedzi w kompanji towarzyszy przy stoliku w oberży „Matelot" w Cherbourgu. Zawadjackie, rozkołysane dźwięki harmonji marynarzy rosyjskich, natarczywe, brzęczące tony strun mandolin i gitar, trącanych drżącemi, pijanemi palcami podoficerów francuskiej marynarki wojennej. Zabawa wre. W kłębach tytoniowego dymu wirują tańczące pijane pary.

Około godziny pierwszej w nocy, gdy opary wypitych trunków zaćmiewają doreszty umysły marynarzy, a szał orgji osiąga punkt kulminacyjny, ot-

wierają się z trzaskiem wejściowe drzwi, i banda pijanych już marynarzy francuskich wwala się na salę. W środku rozwrzeszczanej, nieprzytomnej gromady widać wyrywającą się z rąk trzymającego ją wpół wielkiego draba ślicznej urody dziewczynę. Banda przepycha się przez tłumy tańczących i zajmuje miejsce obok stolika, przy którym siedzi Cap. Wielki drab, marynarz w randze mata o przebiegłej twarzy szczura, trzyma wyrywającą się i płaczącą dziewczynę na kolanach. Pijane usta mata szukają wykrzywionych spazmami ust dziewczęcych. Banda chichocze rozgłośnie,

W sercu sternika Capa poczyna wzbierać żal. Dziewczyna jest piękna, a Cap młody.

Marynarz o twarzy szczura bierze kufel wódki i chce wlać w gardło ofiary.

Dziewczyna odtrąca kufel, i wódka wylewa się na mundur natręta.

Grzmot śmiechu zagłusza dźwięki harmonji i przekleństwa marynarza.

Czerwony z gniewu mat dobywa noża, otwiera nim zaciśnięte zęby dziewczyny i leje w jej usta gorzałę. Biedaczka szarpie się bezsilna w żelaznej obręczy ramion oprawcy,

Gniew szalony i wściekłość porywa sternika Capa. Wstaje od stolika i podchodzi do oprawcy.

— Puść ją, bydlaku! — krzyczy na całe gardło— puść, mówię, draniu, psiakrew, carramba!

Drań patrzy na niego bezczelnem spojrzeniem i nie puszcza z kolan trzepoczącej się jak ptak dziewczyny. Nowy gromki wybuch śmiechu wita to wystąpienie w obronie kobiety.

Wówczas Cap podnosi rękę. Potężny, pięścią w skroń Francuza wymierzony cios wali go na ziemię. Śmiech cichnie w jednej chwili, urywają się rozhuśtane dźwięki harmonji, tańczące pary stają, i w kilka sekund dokoła Capa i powalonego mata zbiera się tłum. Uwolniona dziewczyna chowa się za plecy wybawcy.

Lecz powalony prędko odzyskuje przytomność. Wstaje, ogromny, potężny, pałający wściekłością. Szczurze oczy świecą złym ogniem. Sacré Dieu! — z jazgotem wylatuje przekleństwo z jego zaciśniętych zębów. Zabójcze uderzenie w usta trafia Capa. Pada na ziemię, lecz porywa się w jednej chwili i atakuje przeciwnika kopnięciami w brzuch. Olbrzym drwi sobie z wysiłków słabszego. Wielka ręka mata chwyta przeciwnika za gardło i dusić zaczyna, druga okłada razami pięści posiniałą twarz. Światła i pijane twarze tłumu zaczynają tańczyć w oczach Capa, w zduszonem gardle brakuje tchu, płuca skowyczą z bólu. Jeszcze chwila, a padnie, zduszony, na kamienną posadzkę oberży. Ręka konwulsyjnym ruchem zaczyna macać wokoło. Natrafia na pustą butelkę, stojącą na stole. Ogłuszający cios szkła spada na szczurzą głowę mata. Uderzony—puszcza ofiarę i, chwiejąc się, cofa się o parę kroków.

Wówczas w ręku Capa ukazuje się nóż.

— Z nożem precz!—rozbrzmiewa okrzyk francuskich marynarzy. Nad głowami wznoszą się stołki, kufle i butelki. Zwartym tłumem zbliżają się także towarzysze Capa.

— Halt!—woła chwiejący się na nogach mat—nie bić się! Walka nierozegrana. Dziewczyna nie należy

jeszcze do nikogo. Zagramy o nią w oczko!—zwraca się do Capa.

— Gramy!—odpowiada sternik.

I oto przy jednym ze stolików otoczeni pijanym tłumem towarzyszy dwaj przeciwnicy zaczynają grę o kobietę.

Blada, drżąca dziewczyna z niepokojem przygląda się grze.

Szczęście nie sprzyja Capowi. Przegrywa. Triumf maluje się na twarzy zwycięzcy. Olbrzymie szpony ręki wyciągają się po zdobycz.

Cap odtrąca rękę.

— Żądam rewanżu!—krzyczy—gramy jeszcze raz! Stawiam swoje buty do banku!

Gra rozpoczyna się na nowo. Cap przegrywa drugi raz. Piękne, nieprzemakalne buty z pamiątkami po sztormach przechodzą na własność Francuza.

— No, i cóż — drwi bezlitosny mat.—Buty moje i dziewczyna moja!

Zakrzywione szpony znów wyciągają się po zdobycz. I znów pięść Capa odtrąca rękę przeciwnika.

— Słuchaj!—woła, zrozpaczony—oto drogocenny złoty zegarek ojcowski, nie rozstaje się z nim nigdy. Zagrajmy o niego. Jeśli się nie zgodzisz, jak Bóg w niebie, psiakrew, carramba, pchnę nożem dziewczynę i ciebie!

Szyderczy uśmiech wykwita na ustach tamtego.

— Znów przegrasz—mówi przez zęby — a o cóż grasz—o dziewczynę czy o buty.

— O nią gram, o nią!—krzyczy Cap, przyciskając do piersi rączkę dziewczyny.

Po raz trzeci rozpoczyna się zażarta gra. Długo

szala zwycięstwa nie przechyla się na niczyją stronę, aż szczęście opuszcza Francuza, i Cap wygrywa.

Z okrzykiem radości porywa szczęśliwy sternik ocaloną kobietę w ramiona i wśród hucznych oklasków towarzyszy i rosyjskich marynarzy uprowadza ją z szynku.

Złowrogi mat nie rozpacza po stracie zdobyczy. Obok jego krzesełka stoją piękne nieprzemakalne buty sternika Capa.

Cap nie żałował butów. Od owej nocy w oberży w jego sercu rozgorzał potężny płomień miłości ku pięknej Ninette. Ocalona dziewczyna darzyła z początku względami młodego marynarza, a gdy pobyt dwukominowej „Filadelfji", na której służył Cap, przedłużył się z powodu reperacji uszkodzonego w sztormie kadłuba i schadzki ich zaczęły się stawać coraz częstsze, zapałała do swojego obrońcy miłością, jeszcze większą i silniejszą niż ta, którą żywił do niej Cap.

Wieczorami po zamknięciu „Café de Paris", w którem piękna Ninette była kelnerką, zakochani szli nad brzeg morza, i dziewczyna, trzymając na kolanach opaloną wichrami mórz głowę marynarza, pieściła drobną dłonią jego bujne włosy i szeptała mu na ucho miłośnie:

— Mon cher drań, psiakrew, carrambal...

Były to ulubione wyrażenia Capa. Pierwsze dwa znał jeszcze z młodości, nauczył się ich od ojca, robiącego mu awantury z powodu wstąpienia do marynarki. Ostatnie „carramba" słyszał w Kadyksie w Hiszpanji.

Któregoś nocy kochankowie, rozmarzeni dźwiękami

miłosnej pieśni, dolatującej z pokładu stojącego wpobliżu torpedowca, upili się czarem morza, ciemnej nocy i szalonej miłości. Nocy tej Ninette oddała się Capowi.

Odtąd zaczął się między nimi rozdźwięk. Dziewczyna ciągnęła kochanka do ołtarza i życia osiadłego na lądzie, a młody sternik, choć kochał namiętnie swą „belle Ninette", jednak pieniste grzbiety fal i bezmiary wód oceanu przemawiały silniej do jego duszy.

Gdy uszkodzenia „Filadelfji" zostały naprawione i śruby jej zmąciły wody Cherbourga, popychając statek na pełne morze, na szprychach sterowego koła spoczywały znowu ręce Capa, a oczy jego, wlepione w kreskę kursową kompasu, nie widziały już biednej Ninetty, powiewającej z mola mokrą od łez chusteczką.

Na nogach sternika Capa znajdowały się jego stare nieprzemakalne buty z wysokiemi cholewami.

Odzyskał je szczęśliwym trafem w dzień odkotwiczenia się „Filadelfji".

Dnia tego była pochmurna, wietrzna pogoda. Wielkie białogrzywiaste bałwany szły z morza i z ponurym hukiem rozbijały się o brzeg.

Cap chodził po plaży, myśląc o swej miłości do Ninette, obliczając czas, kiedy znów będzie w Cherbourgu i weźmie dziewczynę w ramiona.

Nagle uwagę jego zwróciło marynarskie ubranie, leżące na piasku. Obok ubrania stały nieprzemakalne buty z wysokiemi cholewami, na prawej cholewie oko Capa rozróżniło dwanaście rys nożem. Nie było wątpliwości. Buty te należały do Capa.

Wzrokiem począł szukać pływaka. Trudno było coś zauważyć na wzburzonem, pianą pokrytem morzu. Odważny musiał być człowiek, ryzykujący kąpiel w taką pogodę.

O parę kroków od Capa rozległo się sapanie, i zduszony głos z wysiłkiem wymiamlał:

Ratunku! Sacré Dieu! Rat...

Cap gwałtownie odwrócił głowę w kierunku głosu.

Przy samym brzegu tuż na miocie fal leżał człowiek. Właściwie nie leżał, a taczał się, rzucany falami. Pomimo nadludzkich wysiłków nie mógł wydostać się na brzeg. Gdy tylko stawał na nogi, uderzenie taranu wody zwalało go na piasek, a powrotny pęd fali zmywał w morze. Jeszcze parę chwil walki, i pływak ulegnie, nie podniesie się więcej na nogi, a trupa jego nazajutrz wyrzuci morze.

Cap podbiegł do miotu fal. Wśród skłębionych białych pian ujrzał siną, wykrzywioną skurczem wysiłku szczurowatą twarz swego przeciwnika z oberży „Matelot".

— Ratunku!—charczał mat—Ratunku! Sacré Dieu...

Ryk fal zagłuszył przekleństwo, a szczurzy łeb skrył się pod wodą.

Cap wyciągnął rękę na ratunek. Nagle myśl o butach zaświdrowała mu w mózgu. Cofnął rękę.

— Hej! — krzyknął do mata — podam rękę, lecz oddaj buty!

Siną twarz topiącego się wykrzywił grymas wściekłości:

— Non...—zaharczał—nie dam. Sacré Dieu! Rat...

Olbrzymi bałwan zwalił go z nóg i pociągnął kilka metrów w morze. Resztkami sił goniąc, dopłynął

do brzegu; gdy dosięgnął miotu fal, skłonny już był do daleko idących ustępstw.

— Dasz?—pytał Cap, wyciągając rękę.

— Dam.., Dam...—ledwo dyszał topielec — bierz je, ty gadzino, Sacré Dieu!

Po chwili mat leżał już wyciągnięty z wody obok swego ubrania i ciężko robił bokami.

Gdy Cap wrócił na pokład, nogi jego były znów obute w nieprzemakalne wysokie, o dwunastu rysach nożem rude buty.

— Dobre dranie, psiakrew, carramba...,— pomrukiwał sternik, patrząc na nogi,

— Hej tam, na sterze!—dolatywał jego uszu głos oficera wachtowego—z kursu nie schodzić! Dwa stopnie w prawo!

— Jest!—odkrzykiwał Cap —dwa stopnie w prawo! Na rumbie!

I znów wzrok jego przechodził na buty.

Niedługo cieszył się Cap ich posiadaniem. Po przybyciu do New-Yorku dyrekcja towarzystwa okrętowego przeniosła Capa jako doskonałego sternika do załogi wielkiego „Lewiatana".

Gdy „Lewiatan" po opuszczeniu portu rozpieniać zaczął fale oceanu, Cap spostrzegł z żalem, że w pośpiechu, z jakim opuszczał pokład „Filadelfji", zapomniał wiszące w szubryku nad koją swoje nieprzemakalne wysokie buty.

— Żal, psiakrew, carramba — zamruczał pod nosem.

Upłynęło kilka lat, w ciągu których „Lewiatan" ani razu nie zawitał do Cherbourga, krążąc wśród archipelagów wysp południowych.

W skwarze słońca południa, w surowych wichrach morskich zwiędła miłość Capa do pięknej Ninette. Zapomniał.

A siedząc w cieniu palm, niejedna ciemnoskóra dziewczyna kołysała na kolanach dziecko o błękitnych oczach i śpiewała smutnym głosem kołysankę murzyńską:

Śpij, mój synku
Mały ty murzynku,
Twa matka na plantacjach pracuje,
A ojciec po morzach błękitnych żegluje
Ao! Ao! Ao!

Aż dnia pewnego pod arkadami przystani Ponta Del Gada, miasta słonecznej wyspy San Miguel, Cap spotkał dawnego towarzysza z załogi „Filadelfji".

Po pierwszych słowach powitania Cap przypomniał sobie o butach.

— Nie wiesz, co się stało z mojemi butami? — zapytał.

Towarzysz jego ryknął śmiechem i filuternie przymrużył jedno oko.

— Heca była z temi butami — zaczął opowiadać głosem, przerywanym dławionym śmiechem — wyobraź sobie, w rok po tem, jakeś opuścił „Filadelfję", zarzucamy kotwicę w Cherbourgu. Ledwie stary zdążył wrócić od kapitana portu, aż tu do nas do szubryku zwala się jakaś baba z dzieckiem na ręku. „Czegóż chcesz—pytamy—piękna Marjanno?" „Chcę się widzieć — powiada — z ojcem mojego dziecka, sternikiem Capem". My w śmiech. „Szukaj—mówi do niej rudy John — śledzia w morzu! Sternik Cap

już od roku nie pływa na „Filadelfji". Ona w płacz. „Gdzież jest—pyta się--mon cher psiakrew, carramba!

Powiadamy jej oczywiście, że nie wiemy, nie mogliśmy przecież ciebie wsypywać. Tu dopiero zaczęły się spazmy i histerje. „Cóż ja pocznę, nieszczęsna, sama z tem dzieckiem?—wrzeszczy Francuzica na cały pokład — co ja z niem zrobię, czem nakarmię, gdy sama nie wiem, co włożyć do gęby. Jak się ten bachor urodził, wymówiono mi posadę! Cóż ja teraz pocznę, nieszczęsna? Świnia jest ten wasz kolega, sternik Cap! Mówił, że kocha, zaklinał się, że nigdy mnie nie porzuci, że wróci niedługo. A teraz cóż? Buja gdzieś sobie po świecie, a ja tu umieram z głodu. Świnia! Świnia! Świnia!"

I jeszcze gorzej na ciebie zaczęła wymyślać. Oburzyliśmy się bardzo, że baba ubliża tak naszemu dawnemu towarzyszowi. Podszedł do niej rudy John, twoje buty za pazuchę jej wtyka. „Masz tu—mówi— jego buty tytułem alimentów i nie jęcz już nam tutaj, babo parszywa. Wynoś się!"

Wziął ją za rękę i zepchnął z pokładu na molo.

Patrzymy, a ona stoi na molo z dzieckiem na ręku, buty twoje całuje i płacze.

Żal się nam trochę zrobiło wtedy tej baby.

Opowiadający zamilkł i zaczął nabijać fajkę, ciągle się dusząc od wewnętrznego śmiechu.

— Cóż się z nią stało? — spytał Cap, czując, że kulka jakaś podstępuje mu pod gardło, a oczy zaczynają wilgotnieć.

— Et, na psy teraz podobno zeszła — machnął tamten ręką—całemi nocami po ulicach się szwenda

lub w oberży „Matelot“ siedzi pijana. Wiadomo... Masz zapałki?

Cap dał towarzyszowi zapałki i, pożegnawszy go, odszedł.

Długi czas dusiła go ta kulka w gardle, a oczy wciąż były czegoś wilgotne.

Lecz „Lewiatan“ znów wypłynął na ocean, i wichry morskie osuszyły łzy Capa.

Znów minęło lat kilka, i oto Cap zbliża się teraz do brzegów Cherbourga.

Oparty o burtę stoi zamyślony stary, gruby bosman Cap i zgrubiałą ręką strząsa nieznacznie zdradziecką łzę.

Jazgotliwy hałas kotwic, wypadających z kluz, wyrywa Capa z zamyślenia i odpędza wizje dawnych lat. „Lewiatan” stoi na redzie Cherbourga.

— Monsieur, nie kupisz pan butów?

Przez hałaśliwe dźwięki jazz-bandu i ponure wycia murzynów — orkiestry oberży „Matelot” — przebija cienki, nieśmiały głosik dziecięcy.

— Monsieur, nie kupisz pan butów?

Gruby bosman Cap gwałtownie odwraca głowę.

Przy stoliku stoi chłopak lat czternastu, o bujnej ciemnej czuprynie i wielkich niebieskich oczach. W wyciągniętej chudej rączynie trzyma parę wysokich rudych nieprzemakalnych butów.

Z ust Capa wyrywa się mimowolny krzyk:

— Skąd masz, chłopcze, te buty?

Cap patrzy uważnie na prawą cholewę.

— Są, są! mruczy bosman — są nacięcia, moim zrobione nożem!

— Co pan mówi, monsieur? Buty te mam po mojej zmarłej niedawno mamusi.

— Czyżby mamusia chodziła w tych butach?

— Och nie, monsieur, gdzieżby mamusia chciała wkładać te ciężkie buciska! Nie kupi pan butów?

— Zaraz, zaraz, chłopcze — mówi bosman Cap — poczekaj trochę, siądź sobie tu na krzesełku, nie napijesz się piwa?

— Jabym zjadł co, kochany monsieur — w oczach dziecka błyszczą łzy — od trzech dni nic już nie jadłem...

— Nie jadłeś od trzech dni, mój biedny chłopcze! Hej, garçon! Dać tutaj ryby!

Chłopak siadł na brzeżku krzesła, nie wypuszczając z rąk butów.

— Postawże je obok — mówi Cap do niego — albo lepiej daj mnie — chcę je obejrzeć.

Chłopak z wahaniem podaje buty bosmanowi.

— Pan mi ich nie zabierze — co?

— Nie, nie, nie zabiorę — mówi Cap i ogląda uważnie buty. — Te same — mruczy pod nosem — te same — moje buty.

Gdy olbrzymia flądra, podana przez kelnera, znika z talerza chłopaka, bosman Cap kładzie mu łagodnie rękę na ramię i pyta:

— Gdzie jest twój ojciec, chłopcze?

— Nie mam ojca — odpowiada mały — właściwie mam, ale nigdy go nie widziałem. Mój ojciec jest marynarzem tak samo, jak pan — dodaje chłopak z dumą — to buty ojcowskie.

Gruby bosman Cap bierze rączkę chłopaka w swe ciężkie, spracowane dłonie.

— Słuchaj, mały, opowiedz mi trochę o twojej mamusi.

— O, bardzo chętnie, monsieur — ożywia się malec — nie mam nikogo, komubym mógł opowiadać o mojej kochanej zmarłej mamusi. Ładna i dobra była moja mamusia. Smutna tylko bardzo, płakała często. Weźmie czasami te buty w ręce, popatrzy na nie i płacze. Pytałem się, czemu płacze, gdy patrzy na buty. Nie odpowiadała nic. Brała mnie tylko w ramiona i tak płakała, płakała.

Smutna była mamusia, ale dobra. Ot, źle tylko, że upijała się często. Czy to bardzo źle, monsieur, gdy się matka upija? Tłumaczyła mi zawsze, że pić musi, bo wtedy zapomina o zmartwieniach. A dużo miała mamusia zmartwień. Zawsze jakieś awantury z gośćmi. Do mamusi często przychodzili goście. Panowie. Czasami nawet bardzo eleganccy panowie. Mamusia zamykała mnie wtedy zawsze w komórce obok pokoju, w którym mieszkaliśmy. Gniewało mnie to nawet trochę. Dlaczego ja też nie mogłem bawić gości? Wszak już jestem dorosły—nieprawdaż, monsieur?

Dobra była dla mnie mamusia, chociaż nie puszczała mnie do gości. Chodziliśmy z nią czasami nad morze, i mamusia, pokazując mi dym tam, gdzie niebo styka się z wodą, mówiła: „Patrz, oto płynie twój tatuś." Opowiadała mi nieraz o moim tatusiu. Piękny był mój tatuś, wysoki taki i silny. Marynarz. Bardzo lubiłem te przechadzki z mamusią nad morzem. Panowie tylko różni dokuczali nam bardzo. Wołali za nami: „Patrzcie, idzie ta z Matelot z nieletnim" Mamusia wtedy płakała. Ja też bar-

dzo nie lubiłem tego, że nazywano mnie nieletnim. Przecież jestem już dorosły, monsieur, nieprawda?

Bardzo mi było dobrze z mamusią. Gdy mamusia umarła, zrobiło się źle. Nie miałem co jeść. Sprzedawałem potrochu rzeczy, jakie mi zostały po śmierci mamusi, i płaciłem sąsiadom, a oni dawali mi jeść. Ale teraz już nie mam co sprzedać. Zostały tylko te buty, których nie chciałem sprzedać, bo mamusia je bardzo lubiła.

— Dlaczegóż mamusia umarła? — spytał Cap zduszonym głosem.

— Utopiła się, monsieur. Trzy tygodnie temu się utopiła. Przynieśli ją już nieprzytomną, Mówili, że po pijanemu wpadła do wody. Przed śmiercią jednak odzyskała jeszcze przytomność, całowała i żegnała się ze mną, prosiła przebaczenia — za co? Prosiła jeszcze, że jeżeli kiedykolwiek tatuś wróci, powiedzieć mu, że już się na niego nie gniewa i że do śmierci kochała go, swojego drogiego marynarzyka, psiakrew, carramba!

Gruby bosman Cap nie słuchał już dalej. Objął ramionami ciemną główkę chłopaka i przycisnął do wstrząsanej łkaniem piersi.

— Chodźmy stąd — powiedział do chłopca — pójdziemy na okręt. Będziemy teraz żyć razem. Będziemy pływać w dalekie kraje, a ty będziesz mi opowiadać o swojej mamusi. Chodź, bierz buty ze sobą.

Na „Lewiatanie“ w bosmańskiej kajucie Capa wiszą na gwoździu nad koją wysokie nieprzemakalne wyrudziałe od morskiej wody buty.

Często po wachcie gruby stary bosman Cap bierze syna na kolana i opowiada mu o krajach, jakie zwiedził w swem życiu, i o burzach, jakie przeszedł, pływając po morzach i oceanach.

A młody Cap opowiada o mamusi, która się utopiła i kazała synowi powiedzieć ojcu, że mu przebaczyła i do samej śmierci kochała swego cher caramba, psiakrew!

LEGENDA RYBACKIEJ WSI.

Czy byliście kiedy, bawiąc na wywczasach letnich, w tej wsi rybackiej, która rozsiadła się na samym końcu długiego półwyspu, wrzynającego się w stalowo-szare wody Bałtyku?

Za wsią, na samym krańcu cypla, omywanego pianami grzywiastych fal, znajdują się szczątki rybackiej chałupy. Nie jest to już domostwo ludzkie, lecz zaledwie ślad pięknej niegdyś, mocno budowanej chaty. Ze środka gruzów, porosłych wrzosem przybrzeżnym, sterczy jeszcze wielki, szeroki komin pieca, w którym niegdyś wędziły się ryby. W ciemne zimowe noce, gdy od morza idzie przejmujący, burzą brzemienny, północny wiatr, w kominie tym wyje coś potępieńczo. Jest to oczywiście pęd powietrza, który, gnąc do ziemi zielska, rosnące na gruzach, wpada w otwór komina i huczy tam rozgłośnie, głusząc nawet czasami ponury ryk morza. Rybacy wsi innego jednak są o tem zdania i powiadają, że to nie wiatr wyje na zgliszczach. Nigdy w nocy żaden mieszkaniec wsi nie zbliża się bez koniecznej potrzeby do tego urocznego miejsca. A i w dzień chodzą tam niechętnie. Zapytani o powód tej niechęci do miejsca, w którem niegdyś sta-

ła chałupa, starzy rybacy wzruszają ramionami i milczą, młodzi zaś odpowiadają, że chodzić tam jest niedobrze i że ojcowie mają widać słuszność, stroniąc od cypla, skoro już niejednemu miejsce to nieszczęście przyniosło.

Jeżeli, będąc w tej wsi, wybierzecie się na wycieczkę w morze, zwrócicie na pewno uwagę na to, że rybak, który prowadzić będzie żaglówkę, znalazłszy się w takiej odległości od brzegu, że szara linja jego niknąć zacznie w bieli pian za widnokręgiem, okazywać będzie niepokój i za nic nie spojrzy przed siebie, za siebie lub w stronę. Wzrok jego, utkwiony w kompas lub żagiel, nie oderwie się od nich ani na chwilę.

Dopiero, gdy daleki brzeg zniknie w falach, dzielących was od niego, rybak odetchnie z ulgą i swobodnie się rozejrzy wokoło.

Dziwnym się wyda każdemu ten niepokój wilka morskiego. Są tam, prawda, skały podwodne, ale przecież w spokojną pogodę niebezpieczne one nie są.

Próżne były usiłowania wyciągnąć od rybaków wyjaśnienie dziwnego ich zachowania się na lądzie na cyplu i na morzu w miejscu, w którem brzeg ginie już z oczu. Milczą jak zaklęci. Obcy przybysz nigdy z ich ust nie usłyszy ponurej tajemnicy rybackiej wsi.

Gdy synowie rybaków dochodzą do wieku, w którym mogą już wraz ze starszymi wyruszać na morze, ojcowie ich wraz z pierwszemi wskazówkami żeglarskiemi, wraz z pouczeniem, jak zakłada się sieci

i jak chodzą ławice ryb, opowiadają im historję ojca i syna Nagałów i pięknej Marji, w której się obaj kochali.

Dawno, dawno, przed laty, gdy jeszcze wieś była naprawdę osiedlem rybackiem, a nie wielkomiejskiem letniskiem, na skraju jej, na cyplu, obok latarni morskiej stała chałupa Nagałów.

Mieszkał w niej rybak Nagała i syn jego.

Błękitne oczy miał stary Nagała, lecz błękit ich nie miał w sobie tej łagodnej przejrzystości lazuru lądowych oczu, co to dobroć niezmierną wskazuje. Były to oczy blado-niebieskie, wypłowiałe na wichrach i bryzgach fal morskich. Twarde, surowe oczy. Zmieniał się nieubłagany ich wyraz tylko wtedy, gdy wzrok starego Nagały spoczął przypadkiem na synie. Dumny był ojciec z syna. Wysoki, piękny, mocny jak sztorm z północy, szybki jak szkwał, żagle rwący, był młody Nagała bezwątpienia najdzielniejszym marynarzem z całej wsi.

I oczy miał ładne syn, duże, czarne, ogniem płonące. Mówili we wsi, że to ogień miłości płonął w oczach Nagały.

Lecz nie na krępą, sękatą postać ojca kierował swe ogniste spojrzenia młody rybak. Wzrok jego oblewał rumieńcem wstydu i szczęścia twarz młodej, pięknej Marji, sieroty, która mieszkała sama w swej ubogiej chatce, a żyła z tego, co jej Nagałowie dali z połowu ryb jako zapłatę za prowadzenie u nich gospodarstwa. Żona bowiem starego, a matka młodego Nagały już dawno nie żyła.

Nagała ojciec wiedział o uczuciach, jakie łączyły młodych, i dawał swą cichą zgodę na małżeństwo.

Nie wzdragał się, że Marja była uboga, wszak mieli dość majątku, on i syn jego. Majątku, który wydarł ciężką pracą codzienną z głębin morskich.

Młody Nagała i Marja wiedzieli o zgodzie ojca i czekali tylko dnia, w którym lata przeżyte pozwolą Marji wziąć ślub.

Dzień ten nadszedł wreszcie. Stary Nagała oprowadzał Marję po wsi i przedstawiał wszystkim, jako narzeczoną syna. Naznaczono też termin ślubu. Przed ślubem wybierał się jeszcze młody Nagała na długą kilkumiesięczną wyprawę rybacką.

Daleko, hen, za Sund, Kategat, Skagerak, za morze Północne na ocean.

I w dzień odjazdu flotylli rybackiej Nagała długo siedział w chatce narzeczonej.

O czem mówili tam oni ze sobą, o czem marzyli, jakie zaklęcia i obietnice dawał młody rybak swej ukochanej, tego nikt nie wie,

A gdy szkuner, na którym był Nagała, rozwinął swe płótniska żaglowe, Marja złożyła długi, tkliwy pocałunek na ustach kochanka i rzekła przerywanym od płaczu głosem:

— Jedź i wracaj prędko. Wracaj na pewno. Teraz już musisz wrócić do mnie. Rozumiesz? Musisz.

Nagała wziął w dłonie jej główkę i długo, uważnie patrzał w oczy.

— Wrócę — rzekł — wrócę na pewno. Śmierć chyba zatrzyma mnie na morzu.

Znikło za widnokręgiem białe stado okrętów rybackich, i spłakana Marja wróciła do domu.

Od dnia odjazdu flotylli rybackiej biedaczka chodziła niespokojna i zmartwiona nad brzeg morza

i, wzrok tęskny wdal morską wbijając, pytała wichry morskie: czy wróci.

Milczało bezlitosne szare morze, obojętnie szumiały fale, nie dawały odpowiedzi białe, żałośnie kwilące stada mew.

Wracała do swej chatki strapiona dziewczyna, a w oczach jej perliły się łzy.

Przychodził wówczas do niej stary Nagała i, dłonią twardą łzy ocierając z jej twarzy, mówił cichym, łagodnym głosem:

— Nie smuć się, nie płacz, moja maleńka, syn wróci, wróci na pewno...

Lecz Nagała nie wracał. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a żagiel jego szkuneru nie zabielił się na widnokręgu.

Marja smutniała coraz bardziej, schudła, sczerniała, a gdy minęło pół roku od dnia odpłynięcia flotylli i od morza pociągnęły chłodne, skuwające fale w lód wiatry, przyszła do chaty starego Nagały i długo, długo z nim rozmawiała. Sposępniał po rozmowie tej stary rybak i coraz uporczywiej twierdził, że syn wróci niedługo.

— Wróci, wróci na pewno — mawiał do Marji — właśnie dlatego wróci na pewno.

I oto dnia pewnego, gdy morze pokrywać się już zaczęło drobną krą, woddali ukazały się białe plamki żagli powracającej flotylli rybackiej.

Wieś cała zgromadziła się na brzegu, a oczy ojców, matek i żon z niepokojem liczyły maszty statków, czy aby nie brakuje żadnego.

I gdy flotylla, pędzona silnym wiatrem, blisko już podeszła do brzegu, krzyk rozpaczy wydarł się z pier-

si rybaków: wśród powracających okrętów brakowało szkuneru Nagały.

Gdy szalupy ze statków przybiły do miotu fal, rzucono się do powracających, a w oczach wszystkich stało nieme pytanie: co się stało?

Relacje brzmiały krótkie, suche: niepomyślne wiatry, późny powrót z tego powodu, sztorm, straszny sztorm wśród lodów północy. Szkuner Nagały oderwał się gdzieś od flotylli, pędzony wichrem, i więcej nie wrócił. Zatarty został pewnie lodami. Poszukiwania rezultatu nie dały. Szkuner zginął.

Stary Nagała i Marja stali obok siebie, słuchając tych hiobowych wieści i mdłych słów pociechy tłumu.

A gdy przebrzmiało ostatnie postrzępione wiatrem słowo „zginął", stary Nagała wziął napółprzytomną, złamaną nieszczęściem dziewczynę i rzekł:

— Chodź, chodź do domu. Nie płacz. Syn mój zginął i słowa dotrzymać nie może, ale ojciec jego wie, jak postąpić, by ratować pamięć zmarłego i twój honor. Chodź, chodź do domu.

I w ciemną, wichrem wyjącą noc zimową Nagała tłumaczył zrozpaczonej dziewczynie swój plan ratowania od hańby jej i dziecka syna swojego, które już niedługo na świat przyjść miało.

Długo mówił, tłumaczył i prosił Nagała, długo milczała, milczenie swe łzami zraszając, Marja, aż w tydzień po tej rozmowie odbył się cichy ślub Nagały z narzeczoną syna.

W miesiąc po ślubie Marja powiła dziecko, urodziwe dziecko o pięknych oczach młodego Nagały.

Mlnęło dwa lata. Cicho i spokojnie płynęło życie w chatce na skraju cypla. Tęskniła jeszcze i płakała

Marja za ukochanym, ale mały synek, który go tak żywo przypominał, osuszał jej łzy. Stary Nagała przywiązał się ogromnie do swej młodej żony, a gdy od dnia ich ślubu minęły trzy lata, pokochał ją całą siłą miłości człowieka, stojącego nad grobem i nie mającego już nikogo na świecie.

Szły dni za dniami, tygodnie i miesiące korowodem czasu nieprzerwanym sunęły wraz z życiem gdzieś wdal nieznaną jak te długie sznury fal, co toczyły się od zamglonego widnokręgu i rozbijały przy brzegu, szemrząc odwieczną powieść o życiu, co się kończy, i nieszczęściach, którym kres śmierć kładzie.

Spokojne, prawie szczęśliwe było życie starego Nagały i Marji.

Trwało to aż do pewnego dnia zimowego, kiedy to w poszum fal burzliwego w tej porze roku morza wmieszał się cichy stuk do drzwi chatki Nagałów.

Marja siedziała przy oknie, zajęta ściąganiem oczek sieci rybackiej, stary Nagała dumał o czemś przy niej, pykając dymem swej małej fajeczki.

Stuk powtórzył się, tym razem silniejszy. Marja drgnęła.

— Co to?

Nagała pokręcił głową.

— Et nic, wiatr do drzwi się dobija.

Lecz uderzenia w drzwi powtórzyły się znowu, wyraźne już i jakby natarczywe.

Marja spojrzała zaniepokojonym wzrokiem na męża.

Dźwignął się ociężale stary rybak, odsunął rygle, otworzył.

W ciemnym otworze drzwi, przez które runął do izby zimny wiatr z deszczem, stała jakaś wysoka postać, otulona płaszczem nieprzemakalnym, w wysokich butach i ziujdwestce.

Przybysz postąpił kilka kroków naprzód i zerwał z głowy zakrywającą twarz ziujdwestkę.

Wówczas krzyk przeraźliwy, krzyk szczęścia i rozpaczy jednocześnie wydarł się z ust Marji.

Na środku izby stał młody Nagała.

Długa, bezsenna i burzliwa była ta noc zimowa. Aż do dnia białego migotało światełko w chatce na cyplu.

Pod akompanjament ryku fal i wycia wichru każdy z tych troiga ludzi opowiadał dwóm pozostałym swoją historję.

Dowiedzieli się stary Nagała i Marja o sztormie okropnym, podczas którego szkuner młodego Nagały zagubił się wśród lodów i po burzy błąkał się lata całe wśród bezmiernych, odludnych płaszczyzn wód i lodów północnego bieguna, nie mogąc wydobyć się z nich ani prosić o ratunek. Mięso białych niedźwiedzi było jedynem pożywieniem znękanej załogi. Wreszcie któregoś dnia patrolujący krążownik rosyjski wyprowadził szkuner rybacki na żeglowne wody, i oto młody żeglarz wraca do ojca i ukochanej.

Dowiedział się młody Nagała o urodzeniu się dziecka i o tem, że Marja jest żoną jego ojca i że stary rybak kocha ją i nie rozstanie się z nią nigdy. Burza rozpaczy i gniewu rozszalała się w piersi nieszczęśliwego.

I oto syn stanął przeciwko ojcu.

Surowe i zimne jak szare wody mórz północy

stały się błękitne oczy starego Nagały. Głosem twardym, nieubłaganym przemówił do syna swego i Marji.

I sens słów był twardy i nieubłagany.

Długo mówił stary rybak, i każde słowo, każde zdanie, tchnące rzeczywistością i prawdą, biło pewnie w sedno rzeczy, krusząc opór jak potężny grzywiasty dziewiąty wał kruszy skały przybrzeżne.

Gdy ojciec i syn kochają jedną kobietę, znika miłość ojca do syna i syna do ojca. Stają się wrogami. Nie można jednak dopuścić do tego, by ojciec i syn byli wrogami. Walczyć ze sobą nie mogą, jeden usunąć się musi. Niezłomny w postanowieniu swem jest syn, lecz również twardy jest ojciec. Nie ustąpi jeden drugiemu. Usunąć się więc muszą obydwaj. Marja nie zechce pozostać sama na świecie, pójdzie więc i ona za nimi. A dziecko? Cóż robić będzie dziecko bez ojca i matki — takie maleńkie? Ono też. Wszyscy więc. To jest jedyne wyjście...

Długo, długo mówił stary Nagała, a syn i Marja słuchali jego słów.

Wstający dzień zastał rodzinę Nagałów śpiącą twardym snem. A gdy minął on i nad wzburzonem morzem zawisł czarny całun nocy, stary Nagała obudził się ze snu.

— Czas już — rzekł do żony i syna — bierzcie dziecko, chodźmy

I w blaskach płonącej chaty, na dach której żagiew płonącą rzuciła ręka starego, od brzegu odbiła łódź żaglowa Nagałów.

Ludność wsi, która wybiegła na pożar, długo patrzała z brzegu na oddalającą się łódź.

Na sterze obok Marji z dzieckiem na ręku sie-

dział stary Nagała, na dziobie łodzi z linami od żagli w ręku widniała postać syna Nagały.

Łódź uchodziła w mroczną dal, aż znikła z oczu wśród połyskujących w łunie pożaru grzbietów pienistych fal.

Nikt jej już więcej nie widział.

Utrzymuje się legenda wśród mieszkańców rybackiej wsi, że łódź Nagałów krąży bezustannie w ciemne, burzliwe noce przy brzegach cypla, na którym stała ich chata.

Jest to kara Boża, która spotkała ich za grzechy.

I biada temu, kto ujrzy na morzu upiorną łódź żaglową, na sterze której siedzi stary rybak obok kobiety z dzieckiem na ręku, a na dziobie młody, trzymając liny od żagli w ręku, wzrok ma wbity w mrok nocy.

Nieszczęście czeka tego, kto zobaczy tę zjawę. I dlatego rybacy niechętnie chodzą na cypel, gdzie znajdują się szczątki spalonej chałupy, a znalazłszy się na morzu w tem miejscu, gdzie według przypuszczeń zatonęła łódź Nagałów, boją się rozglądać wokoło, żeby nie ujrzeć upiornego żagla, niosącego śmierć i nieszczęście.

Taka jest legenda rybackiej wsi, co się rozsiadła na samym końcu długiego półwyspu, wrzynającego się w szare fale Bałtyku.

PANNA JADZIA.

Gdy statek wasz wchodzić będzie do portu Gdańskiego i minie już latarnię, spojrzyjcie ze sterburty na brzeg.

Tam, niedaleko budynku komory celnej zobaczycie młodą kobietę. Powiewać będzie chusteczką. To panna Jadzia.

Ponieważ lubicie młode, ładne kobiety, będziecie się ciągle patrzeć na nią z pokładu.

Nie lękajcie się stracić jej z oczu—iść będzie za statkiem wzdłuż kanału.

A gdy się już przycumujecie i wyjdziecie na ląd, panna Jadzia podejdzie do was i spyta:—Czy Stefan nie przyjechał z wami?

Wy, nie wiedząc, o jakiego Stefana jej chodzi, odpowiecie, że nie, nie przyjechał.

Wówczas spochmurnieje na chwilę twarzyczka panny Jadzi, ale wnet się rozpogodzi i powie wam z uśmiechem:—Cóż ja mam za głowę. Ciągle zapominam, że Stefan przyjedzie nie dziś, lecz jutro!

Gdy patrzyć będziecie na nią ze zdziwieniem, spojrzy wam wszystkim pokolei prosto w oczy i spyta: Marynarzyki, pójdziecie do mnie?

I pójdziecie, bo panna Jadzia jest zgrabna, ma

kształtne nóżki i takie ładne, dziwne, trochę smutne spojrzenie.

Po ciemnych, wąskich schodach zejdziecie nadół do suteryny, gdzie mieszka Jadzia.

Zobaczycie mały, skromny pokoik.—Stoi tam stolik, szafa, łóżko i kozetka.

Gdy będziecie odchodzić od łóżka, zwróćcie uwagę na wiszącą nad niem fotografję marynarza z jedną naszywką na rękawie.

To jest właśnie ten Stefan, o którego pytała się Jadzia.

A gdy, wychodząc już, wręczycie jej brudny banknot i spytacie, jak to wy zawsze pytać lubicie:— co cię do tego przywiodło, me złotko?— panna Jadzia opowie wam chętnie swoją historję.

Nie usłyszycie od niej ani o okrutnym poruczniku, który ją podstępnie zwabił do siebie i zniewolił, ani o widmie głodowej śmierci, ani o strasznych rodzicach, zmuszających córkę wyjść na ulicę.

Opowie wam rzetelną prawdę. Oto, co usłyszycie od niej:

Pięć lat temu panna Jadzia była jeszcze na pensji. Chodziła do piątej klasy. Miała serdeczną przyjaciółkę Kirę. Kira była o trzy lata starsza od niej.

Kiedyś przyjaciółki pokłóciły się ze sobą o jakiegoś chłopca.

Jadzia, uniósłszy się, nazwała nawet Kirę rudą małpą.

Bo rzeczywiście włosy Kiry były rude.

Zaraz po kłótni zaczęła oczywiście żałować swych słów i przeprosiła przyjaciółkę. Nastąpiła zgoda, Kira jednakże chowała do niej w sercu głęboką urazę

Gdyby nie było tej kłótni, może panna Jadzia nie byłaby tem, czem jest.

Zdarzyło się tak, że bawiąc podczas wakacyj w Gdyni, Jadzia poznała pewnego przystojnego chłopca.

Był to starszy marynarz, Stefan Tomanek.

Od pierwszej chwili Stefan ogromnie się spodobał młodej, wrażliwej dziewczynie.

Jeździli z sobą ciągle łódkami na morze.

Po tygodniu tych wodnych spacerów Jadzia była już zakochana w młodym marynarzu, po trzech—szalała za nim, a gdy minął miesiąc, nie mogła już wyobrazić sobie, jak się obędzie bez kochanego Stefusia.

I tu właśnie, gdy miłość Jadzi osiągnęła swój zenit, stało się nieszczęście: Stefan zaczął jej unikać.

Gdy zrozpaczona, ze łzami w oczach pytała swe bożyszcze, co się stało, czy już się mu nie podoba, młody marynarz odpowiadał jej, że widywać się więcej nie będą, gdyż przekonał się, że Jadzia jest uczciwą dziewczyną, a więc wszelkie miłostki między nimi byłyby podłością a on, jako człowiek szlachetny, nigdy się na podłość nie odważy. Ożenić się zaś z nią nie może, gdyż będąc zaledwie starszym marynarzem, nie może dać żonie utrzymania. Z tych względów żegna Jadzię i uważa znajomość za skończoną.

Spłakana, nieszczęściem przybita dziewczyna poszła się zwierzyć i spytać o radę swoją przyjaciółkę, Kirę.

Kira udawała współczucie i płakała nawet nad niedolą koleżanki, ale w głębi serca, chowając ura-

zę za „rudą małpę,” cieszyła się z niepowodzenia Jadzi.

Obiecała coś poradzić nieszczęśliwej zakochanej.

I oto po kilku dniach, spotkawszy Jadzię na Oksywji przed koszarami marynarki wojennej, zaczęła przekładać oszalałej z bólu dziewczynie swoje rady.

Tłumaczyła jej, że każdy marynarz, a więc i Stefan też, jest człowiekiem rozpustnym i lubi tylko wyuzdane dziewczyny uliczne. Zrozumiałe zupełnie, że z takiemi gęśmi, jak Jadzia, która się przy byle głupim całusie czerwieni, Stefan nie chce mieć nic do czynienia. Marynarze lubią tylko uliczne dziewczyny. Jeżeli więc chce się przypodobać ukochanemu, musi wyść na ulicę. Jeżeli Jadzia nie wierzy, niech przyjdzie w nocy tu pod koszary, a na pewno zobaczy Stefana, jak pójdzie do szynku Piątka z pierwszą lepszą dziewczyną, złapaną na rogu. Jeżeli więc Jadzia chce, żeby ją Stefan kochał, musi się stać taką, jakie on lubi.

Oburzona dziewczyna dała niecnej przyjaciółce siarczysty policzek i, plunąwszy w jej stronę, odeszła.

Ale ziarno padło na grunt podatny.

Miała zresztą w pamięci słowa Stefana, który mówił, że wszelkie miłostki z uczciwą panną uważa za podłość i podłości takiej nigdy nie popełni. Dopóki więc jest uczciwą dziewczyną, Stefan jest dla niej niedostępny.

To też, gdy pewnej nocy zobaczyła przez rzęsiście oświetlone szyby oberży Stefana w objęciach jakiejś wymalowanej podstarzałej kobiety, w umęczonem serduszku panny Jadzi zapadła decyzja:

niechże więc będzie tak, jak mówiła Kira. Bez Stefana nie mogę żyć!

Tejże nocy oddała swe ciało jakiemuś przygodnemu znajomemu.

Po tygodniu zaś już z czarną książką w torebce oczekiwała Stefana przed koszarami.

I tu spadł na nią drugi zupełnie nieoczekiwany cios.

Dowiedziała się od marynarzy, z którymi już weszła w stosunki, że starszy marynarz Stefan Tomanek odbył swoją służbę w marynarce wojennej i, zaciągnąwszy się na jakiś statek handlowy w Gdańsku, odpłynął do Bombaju.

Od tego uderzenia losu pomieszało się w biednej główce panny Jadzi. Długo, uważnie przyglądała się swojej czarnej książce i nie mogła w duszy znaleźć odpowiedzi na pytanie: poco jej teraz ta książka, gdy Stefan wyjechał? Może ją teraz wyrzucić, choć rodzice i tak już nie przyjmą pod dach wyrodnej córki.

Po kilku dniach spotkała Kirę i zadała jej to pytanie.

A tamta, widząc szaleństwo w oczach swej dawnej przyjaciółki, odpowiedziała jej żartem: — Jakto poco? Przecież Stefan wróci pewno jutro z Bombaju i zabierze ciebie ze sobą na piwo do oberży Piątka!

Radość rozbłysła w nieprzytomnych oczach panny Jadzi. Chciała się spytać jeszcze swej pocieszycielki, czy aby na pewno już jutro powróci Stefan, ale Kira czem prędzej ją pożegnała, tłumacząc, że nie może rozmawiać z nią na ulicy, gdyż obcowanie z uliczną może jej popsuć opinję.

Panna Jadzia wyjechała z Gdyni do Gdańska i tu w porcie, stojąc obok komory celnej, oczekuje codziennie statku, którym jedzie do niej Stefan.

Gdy statki przychodzą, a Stefana niema, Jadzia przypomina sobie, że przecież Kira powiedziała, iż Stefan przyjedzie jutro. Nazajutrz więc przychodzi znowu i czeka.

Taką historję opowie wam panna Jadzia. Później podprowadzi was do łóżka, nad którem wisi fotografja marynarza z jedną naszywką na rękawie, i powie: — To mój Stefan, on jutro przyjedzie.

A gdy wychodzić będziecie ciemnemi, wąskiemi schodami na górę, panna Jadzia poświeci wam małą naftową lampką i powie:—Przyjdźcie jeszcze kiedy, ogromnie z was mili chłopcy!

I wy przyjdziecie, bo panna Jadzia jest zgrabna, ma kształtne nóżki i takie ładne, dziwne, trochę smutne spojrzenie.

PANI ZOSIEŃKA.

Pani Zosieńka jest bardzo wesoła. Nawet szczęśliwa. Na taką przynajmniej wygląda. Aż dziw bierze, jak można być taką szczęśliwą, mając tak starego męża.

Pani Zosieńka ma dwadzieścia lat. Jest żywa jak ogień, swawolna jak sztubak.

Nie tak dawno zresztą była jeszcze na pensji. Trzy lata temu zaledwie. I koleżanki jej są jeszcze takie smarkate. Uczą się. Zosieńka jest wśród nich powagą, no, bo jakżeż—mężatka.

Często wieczorem przyjaciółki zbierają się u niej, Niejednokrotnie też mówią jej, zaglądając pytająco w oczy:—Zośka, powiedz, czy naprawdę jesteś szczęśliwa z tym swoim dziadem?

Pani Zosieńka zżyła się już z tem pytaniem. Wszak padało ono tak często.

I kładąc rękę na ciemnej główce trzyletniego synka swego, pani Zosieńka przymyka oczy i cicho odpowiada: — Tak.

Z tą odpowiedzią zżyła się też. Przecież brzmi ona tak samo często, jak i pytanie. Nikt zresztą nie wątpi o prawdziwości tego, co mówi pani Zosieńka—

ona nigdy nie kłamie. A któżby tam zwracał uwagę na tę drobniutką, ledwo dostrzegalną zmarszczkę koło ust, która się czasami zjawia na jej twarzy. Koleżanki wzruszają ramionami i wyjść nie mogą z podziwu, jak można być tak szczęśliwą, mając tak starego męża. Pani Zosieńka uśmiecha się łagodnie i już nic nie odpowiada. A gdy przyjaciółki rozejdą się, bierze synka na kolana i siada koło otwartego okna, skąd roztacza się widok na morze. Wówczas powleka się smutkiem twarzyczka pani Zosieńki, a w oczach jej, wpatrzonych w daleki widnokrąg, błyszczą łzy.

Zresztą, może to się tylko zdaje małemu synkowi, który unosi swą buzię do góry i, gładząc matkę po twarzy, pyta: — Ty płaczesz, mamusiu?

Pani Zosieńka mocno zaciska oczy, a kiedy je znowu otwiera, są już one wesołe i rozbawione po dawnemu. I całując synka w czoło, mówi: — Nie, synu, mamusia nie płacze, mamusia jest szczęśliwa i zawsze będzie szczęśliwa, jeżeli synuś będzie szczęśliwy i grzeczny!

Męża swego pani Zosieńka nie kocha. Tylko troje wiedzą o tem: mąż pani Zosieńki, pan Filipski, ona sama i Jerzyk. Jerzyk to ten porucznik dalekiej żeglugi na szkunerze „Aurora".

„Aurora" co pół roku zakotwicza się w Gdańsku. Lecz na pokładzie szkunera niema już Jerzyka. Po tem, co się stało, porzucił służbę na swym okręcie i krąży teraz wśród archipelagów wysp południowych na jakimś chińskim brygu.

Jerzyk kochał kiedyś panią Zosieńkę. Kocha ją jeszcze i teraz, choć tak okrutnie z nim postąpiła.

Z pokładu tego chińskiego brygu Jerzyk często przysyła długie listy do pani Zosieńki. Zaklina ją, by porzuciła męża, którego nie kocha, i przyjechała do niego. Po każdym liście od Jerzyka pani Zosieńka jest smutna i przesiaduje długo z synkiem koło otwartego okna, skąd roztacza się widok na morze. Koło usteczek jej tworzy się bolesna zmarszczka, a w oczach ukazują się łzy. Nikt oczywiście tego nie widzi, przy ludziach pani Zosieńka jest zawsze wesoła. I dopóki synek jest zajęty podziwianiem baranków na powierzchni morza, pani Zosieńka wpatruje się w daleki widnokrąg, za którym, być może, żegluje chiński bryg „Chinsura", i przypomina sobie i rozważa po raz tysiączny tragedję swego życia. A gdy już przemyśli wszystko od początku do końca, stawia sobie w duszy pytanie, czy ma słuszność, postępując w ten sposób? I stawiając to pytanie, już zgóry zna swą odpowiedź.

Pan Filipski, mąż pani Zosieńki, jest starszy od niej o trzydzieści lat. Nic w tem niema dziwnego, jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że pan Filipski, nim został mężem pani Zosieńki, był jej ojczymem. Swą pierwszą żonę pan Filipski kochał ogromnie. Kochał prawdziwie. Kocha ją jeszcze i teraz. I często w ciemne burzliwe noce, gdy jesienny wiatr głucho wyje za oknem, a bałwany z hukiem ponurym tłuką wściekle w pale portowe, pan Filipski, odchodząc od łóżeczka pani Zosieńki, mówi do niej złym szeptem przez zaciśnięte zęby:

— Ty mała gadzino, wiem, że mnie nie kochasz, wiem, że mnie nienawidzisz, ale i Ty wiedz, że cię

niecierpię i, gdyby wstała z grobu twa matka, porzuciłbym cię jak sukę i powrócił do niej!

Pan Filipski niezawsze jest w tak złym humorze. Czasami bywa nawet wesoły i wtedy nie zrzędzi na panią Zosieńkę. Ale w burzliwą jesienną pogodę pan Filipski jest zawsze zdenerwowany i zły. Ma poważne przyczyny po temu. Pięć lat już upłynęło, gdy w taką ciemną, jesienną, wyjącą wichrem noc zginęła w morzu matka pani Zosieńki.

Załoga szkuneru „Aurora", powracającego z dalekiej podróży, wyłowiła z odmętów rozszalałych wód jej martwe ciało. Pani Zosieńka dobrze pamięta tę noc. Dotychczas brzmi w jej uszach ostrożne, porywami wichru głuszone stukanie do drzwi. I martwe ciało matki pamięta, bezwładnie zwisające na ręku Jerzyka. Jerzyk był wówczas oficerem wachtowym na szkunerze „Aurora". I to jeszcze pamięta, że zrozpaczona, oszalała od bólu, nie mając się komu pożalić i przed kim wypłakać, rzuciła się na szyję Jerzyka, który ją tak serdecznie pocieszał. Widziała go wtedy po raz pierwszy.

Od tej chwili w sercach ich zrodziła się wielka, płomienna obopólna miłość. „Aurora" długo stała wtedy w Gdańsku, i Jerzyk zajął się pogrzebem zmarłej, gdyż pan Filipski, ogłupiały i napółprzytomny od nagłego uderzenia losu, niezdolny był do żadnego czynu.

Jerzyk załatwił wszystko. A gdy padła ostatnia łopata ziemi na mogiłę nieboszczki, Jerzyk wziął pod rękę Zosieńkę i odprowadził ją do domu. Widywali się później niemal codziennie. Po tych spotkaniach zostało u pani Zosieńki wspomnienie cze-

gość dobrego, kojącego, jakichś słów, czułych, pieszczotliwych, pocieszających, a w duszy pozostał na wieki wyryty obraz czarnych oczu, łagodnie, z litością na nią patrzących. Ojczym nie kochał jej nigdy, tolerował ją zaledwie w domu przez wzgląd na matkę jej, którą ubóstwiał. Ojciec pani Zosieńki umarł już dawno, rodziny nie miała.

Przyjazne, pełne dobroci obejście młodego marynarza wywarło na wrażliwej dziewczynie głębokie, niezatarte wrażenie.

Kochała go bez pamięci. Takież same uczucie, a może jeszcze silniejsze żywił do niej Jerzyk.

To też, gdy „Aurora" po długim postoju w Gdańsku wyruszyła na morze w jeszcze dłuższe, bo dwuletnie pływanie, na paluszku Zosieńki, powiewającej z mola chusteczką, połyskiwała złota kotwiczka na srebrnym pierścieniu porucznika dalekiej żeglugi Jerzyka.

Gdy wierzchołki masztów „Aurory" znikły w bieli pian za widnokręgiem, Zosieńka wróciła do domu.

I teraz dopiero zwróciła baczniejszą uwagę na swego ojczyma. Przedtem zajęta ciągle Jerzykiem nie miała na to czasu, nie dostrzegała obłąkanego wyrazu oczu, nie słyszała półprzytomnych, urywanych bredzeń oszalałego z bólu człowieka.

Pan Filipski cierpiał strasznie. Za mało powiedzieć—cierpiał. Zapamiętał się wprost w swym bólu ogromnym, zamknął się w myślach ze swem nieszczęściem. Nie jadł, nie pił, nie odzywał się słówkiem do pasierbicy, i tylko w nocy z pokoju jego do uszu Zosieńki dolatywał głos, smutny, łkaniem przerywany, wzywający swą zmarłą żonę. Zgromadził

u siebie wszystkie rzeczy, pozostałe po nieboszczce, i dniami całemi przekładał je z ręki do ręki, gładząc i pieszcząc, mrucząc jakieś słowa, niezrozumiałe, bolesne, w które swą rozpacz głuchą przelewał. Gdy nadchodziła noc, burzliwa i ciemna, i od rozszalałego morza dolatywać zaczynał posępny pomruk fal, pan Filipski nie spał. Chodził ponury jak ten jesienny mrok za oknami i nadsłuchiwał. Nadsłuchiwał, czy żona nie wraca. Wszak w noc taką wyszła ona z domu. I obłąkanemu z bólu wydawało się, że od tego czasu nie minęła nawet doba, ani o kawałek nie przesunęła się wskazówka zegara od chwili, gdy zaniepokojony długą nieobecnością żony oczekiwać zaczął z bijącem sercem kroków powracającej.

Płynął czas, a rozpacz pana Filipskiego miast się ukoić potęgowała się coraz bardziej.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że jeżeli nie będzie miał czegoś, coby mu ciągle przypominało nieboszczkę, jeżeli znikną gdzieś wszystkie po niej pamiątki—oszaleje z bólu.

Kiedyś Zosieńka zawołała go po imieniu. Pan Filipski siedział wtedy sam, zamknięty w swoim gabinecie. Na dźwięk głosu Zosieńki jednym skokiem wypadł z pokoju. Twarz jaśniała mu szczęściem.

— Wando — zawołał — więc żyjesz?!

Lecz ujrzawszy Zosieńkę, znowu spochmurniał.

— To ty mnie wołałaś?—zapytał.—Jakiż ty masz podobny głos do matki, dopiero teraz to zauważyłem. A i wogóle cała jesteś do niej podobna. Chodźno tutaj bliżej.

Zosieńka podeszła. Pan Filipski wziął w dłonie jej główkę i długo, uważnie patrzył w oczy. Później

niespodzianie przyciągnął do siebie i całować zaczął namiętnie jej usta i szyję.

Zosieńka wyrwała się i uciekła. Nocy tej biedaczka długo płakała w swem łóżeczku, a w słowa modlitwy wplątywały się prośby, skierowane do ukochanego: Jerzyku drogi... obroń mnie..., nie daj skrzywdzić sieroty...

Od tego dnia rozpoczęła się męka dla Zosieńki. Ojczym zaczął ją prześladować. Zdawało się, że obłąkany od bólu człowiek pragnie zastąpić sobie zmarłą kimś, kto tak bardzo ją przypomina, że całą namiętność swoją, którą pałał do zmarłej, przelać chce na córkę. Nie wołał już Zosieńki po imieniu, nazywał ją Wandą, najdroższem dla siebie imieniem zmarłej żony.

I oto w rok po śmierci matki, gdy za oknem upiornie wył wiatr, a fale z hukiem ponurym rozbijały się o brzeg, w głuchą ciemną noc jesienną pan Filipski przyszedł do łóżeczka Zosieńki.

— Wando... — rzekł cicho, ledwo dosłyszalnym szeptem.

Zakotłowało się coś w ciemności, rozległy się odgłosy uderzeń i razów, i wkońcu krzyk przeraźliwy zdławionego gardła zaginął w wyciu szalejącej za oknem wichury.

A potem... potem...

Ach, potem nastały ciężkie, smutne dni dla pani Zosieńki.

Z początku nieudane samobójstwo po owej fatalnej nocy, znęcania się i zwarjowane pieszczoty okrutnego potwora, ślub w czarnej sukni i w pustym

kościele, narodzenie się dziecka i wreszcie, wreszcie powrót Jerzyka.

Ta krótka chwila widzenia się z nim była chyba najboleśniejszą w życiu pani Zosieńki. Pani Zosieńka pamięta dobrze tę chwilę: w maleńkim saloniku pali się słabem światłem lampa w zielonym abażurze, rzucając migotliwe blaski w ciemne kąty pokoju. Pani Zosieńka stoi na środku i ciałem swem zasłania skuloną, dygocącą ze strachu postać pana Filipskiego.

— Nie trzeba, nie rób tego, Jerzyku, Zosieńka prosi...

W ręku Jerzyka połyskuje lufa mauzera. Na twarzy trupiobladej maluje się rozpacz, ból tępy i straszna, nieokiełzana wściekłość.

Ręka porucznika dalekiej żeglugi podnosi się znowu, i wylot lufy wyraźnie skierowuje się w stronę łysiejącej głowy pana Filipskiego.

— Nie trzeba, nie rób tego, Jerzyku, Zosieńka prosi...

Głos jej brzmi głucho i niesamowicie jakoś rozdziera straszną ciszę mrocznego pokoju.

Jerzyk opuszcza rewolwer, twarz jego krzywi się w potworny grymas pogardy.

— Ach, tak... rzeczywiście—cedzi przez zaciśnięte zęby—przepraszam bardzo... zapomniałem zupełnie... przecież to twój oblubieniec... twój mąż.

Pani Zosieńka podchodzi do niego i kładzie mu rękę na ramieniu.

— Jerzyku, to jest ojciec mojego dziecka! Rozumiesz? Ojciec mojego dziecka.

Jerzyk nie rozumie, patrzy na nią tępym, nie przytomnym wzrokiem.

Wzdycha ciężko i chowa mauzer do kieszeni. Energiczny zwrot wtył, i postać jego znika za drzwiami z przed oczu pani Zosieńki. Znika na zawsze.

Długi, łzami skropiony list przychodzi nazajutrz na pokład „Aurory". W liście tym pani Zosieńka tłumaczy Jerzykowi wszystko.

„Jerzyku drogi — pisze pani Zosieńka — przebacz mi, przebacz, mój chłopcze jedyny, nie miej do mnie urazy. Doprawdy, nie moja to wina. Nieszczęście się stało, i nie w naszej jest mocy odwrócić je. Zaklinałeś mnie w obecności męża porzucić go i zostać twoją, lecz co się stanie z dzieckiem, Jerzyku? Co się stanie z tem maleństwem, gdy mu zabraknie matki? Tyś nie widział mojego synka! Takie to jeszcze słabe, mizerne... Jakżeż mogę go opuścić?

A zabrać go ze sobą nie mogę, mąż mój nigdy mi dziecka nie odda!

A potem...

Czybyś był dobry dla niego? Wiem, co to znaczy mieć ojczyma!

Trudno, mój Jerzyku kochany, nic na to nie poradzimy, dla szczęścia dziecka muszę poświęcić swoje!

Bardzo jestem nieszczęśliwa, mój chłopcze złoty! Mąż nie kocha mnie wcale. Ożenił się ze mną, bo musiał, bo przypominałam mu matkę.

W nocy, wiesz... zdaje się mu, że jestem mamusią, i wtedy przemawia czule, nazywając mnie Wandą. Ale gdy nastaje dzień i złudzenie pryska, staje się straszny. Maltretuje mnie, obrzuca obelgami, zapowiada, że gdyby wróciła mama, porzuciłby mnie

jak psa i powrócił do niej. Ach, nie masz pojęcia, Jerzyku kochany, jakie to jest przykre dla mnie!

Lecz zawsze, gdy jest mi bardzo smutno i przychodzi myśl o tem, że żyć nie warto, biorę na ręce swojego maleńkiego synka, i on swym krzykiem dziecięcym rozpędza troski i ponure myśli.

Ale tobie przykro na pewno czytać o mojem pożyciu z mężem. Kończę już.

Żegnaj, Jerzyku, mój chłopcze jedyny! Zapomnij o mnie i postaraj się znaleźć sobie inną kobietę, którąby kochała ciebie równie gorąco, jak ja. Nie myśl już o mnie i o mojem szczęściu. Moje szczęście jest w szczęściu mojego dziecka. Żegnaj!

W dwa dni po otrzymaniu tego listu Jerzyk wyjechał z Gdańska, gdzie wszystko zbyt żywo przypominało mu panią Zosieńkę.

Krąży teraz wśród archipelagów wysp południowych na pokładzie chińskiego brygu „Chinsura"

Pan Filipski uspokoił się nieco i nie maltretuje już pani Zosieńki, która jest dobrą gospodynią i matką. Tylko w mroczne, burzliwe noce jesienne pan Filipski jest zdenerwowany i zły.

Chodzi ponury z kąta w kąt i nasłuchuje, czy nie wraca jego pierwsza zmarła żona.

I zawsze w noc taką, odchodząc od łóżeczka pani Zosieńki, zapowiada, że porzuciłby ją natychmiast, gdyby wstała z mogiły jej matka.

Po każdym liście od Jerzyka pani Zosieńka długo przesiaduje z synkiem na kolanach koło otwartego okna, skąd roztacza się widok na morze.

I czasami w nocy, gdy poświata księżyca ocza-

łuje swym tajemniczym blaskiem lśniące grzbiety fal, wydaje się pani Zosieńce, że na widnokręgu ukazuje się bajeczny chiński bryg „Chinsura" i od morza wyciągają się do niej miłośnie kochające ramiona Jerzyka. Serce bić wtedy zaczyna pośpiesznie, i pani Zosieńka chce się zerwać i lecieć nad brzeg morza na spotkanie ukochanego. Lecz wtedy szyję jej oplatają drobne rączyny, a cichy głosik dziecięcy pyta nieśmiało:

— Ty płaczesz, mamusiu?

I giną gdzieś w głębiach duszy wyciągnięte ramiona Jerzyka, bajeczny chiński bryg „Chinsura" rozpływa się w poświacie księżyca, i pani Zosieńka, okrywając pocałunkami wyciągniętą ku niej twarzyczkę synka, szepce:

— Nie, synusiu, mamusia nie płacze i będzie szczęśliwa, jeżeli synuś będzie szczęśliwy i grzeczny.

PRZYJACIELE.

— Wichura była rzeczywiście okropna...

Urzędowo zanotowałem w dzienniku okrętowym siłę wiatru 12, ale jestem głeboko przekonany, że przekroczyła ona tę cyfrę i osiągnęła moc, na określenie której niema nazwy w nomenklaturze locji. To nie był huragan ani orkan, to było djabli wiedzą—co!

Przechodziłem w życiu swojem przez różne tego pokroju „zefirki", niejednokrotnie widziałem żagle, darte na strzępy szkwałami, słyszałem trzask łamanych masztów, ale człowieka, porwanego wichrem z pokładu, zabaczyłem po raz pierwszy dopiero wczoraj.

Porucznik Oliveira stał wtedy na baku, mierząc okiem przestrzeń wodną, dzielącą „Princessa Maria" od groźnych skał Deserto Grando, gdy nagły poryw wichru zmiótł go w rozszalałe odmęty kipiących wód. Zginął. Nie ratowaliśmy go nawet — szaleństwem byłoby spuszczać szalupy podczas takiej pogody.

Wichura była rzeczywiście okropna, ale dalibyśmy sobie z nią radę i bez waszej pomocy...

Jerzy Orecki, pierwszy oficer na pokładzie dwukominowego parowca „Princessa Maria", przerwał

swą długą mowę, gdyż zauważył, że towarzysz jego już od paru minut nie słucha go wcale.

— O czem tak myślisz, Pawle? — zagadnął.

Paweł Łuszczyński, oficer wachtowy na transatlantyku „Lisboa", który przed paru zaledwie godzinami uratował „Princesse Maria" od rozbicia, zrobił niecierpliwie ruch ręką.

— Nie przeszkadzaj, Jurku—ja myślę.

— Nad czem?

— Nie przeszkadzaj!

— Jako przyjacielowi powiesz mi chyba, nad czem myślisz tak zawzięcie?

— Nietylko powiem, ale i poproszę cię o coś.

— Słucham.

— Poczekaj, niech pomyślę, jak ci to wszystko wytłumaczyć...

Przyjaciele znajdowali się na pokładzie „Princessa Maria", która, przyholowana przez transatlantyk „Lisboa", stała teraz ze swym strzaskanym w sztormia sterem na redzie*) Funchalu, głównego portu Madeiry.

Paweł, wysoki, chudy dryblas, o małej, brzydkiej twarzy wielkości pięciu groszy, okolonej rudym zarostem, oparł się o burtę i zamyślony wzrok utkwił w białych w powodzi zieleni palm tonących murach Funchalu.

— Jurek!

— No?

— Byłeś w Funchalu już nieraz?

— Naturalnie.

*) Reda—część portu.

— Wiesz, gdzie się znajduje ten plac, na którym stoją sanki, zaprzężone w muły? Zwykle stoją one przed tym angielskim szynkiem „Golden Gate“, który się znajduje na placu.

— No, wiem, wiem dobrze.

— Z jednej strony plac jest zamknięty gajem palmowym, w którym znajduje się rozpięty ekran. Kino.

— Byłem w tym gaju nieraz. Cóż dalej?

— Jeżeli przejść przez ogród, trafi się na małą, krętą uliczkę, pnącą się stromo wgórę. Uliczka ta nazywa się Joao Tavira.

— Aha!

— Wiesz, kto tam mieszka?

— Wiem. Na Rua Joao Tavira mieszka la bella signorita Dolores, w której ty się kochasz.

— Tak.

— Cóż dalej?

— Teraz słuchaj uważnie: „Lisboa“ za godzinę odpływa do New-Jorku. „Princessa Maria“ reperować się będzie w Funchalu, i naprawienie jej uszkodzeń potrwa prawdopodobnie z miesiąc, tak, że gdy „Lisboa“ w drodze powrotnej zawita ponownie na Maderę, znajdować się jeszcze będziesz w Funchalu. Otóż proszę cię o wyświadczenie mi przyjacielskiej usługi.—Słuchaj uważnie: Chcę się ożenić z Dolores —jest piękna, miła, sympatyczna i—co najważniejsze —zgadza się zostać moją towarzyszką życia. Pozornie więc niema żadnych przeszkód. Ale to tylko pozór. Jest jedna przeszkoda z kalibru najcięższych — w Funchalu krążą pogłoski, że Dolores jest płocha

i utrzymuje stosunki miłosne z każdym mężczyzną, który się jej podoba. Fama głosi również, że niemal wszyscy mężczyźni na kuli ziemskiej podobają jej się szalenie. Dolores zaprzecza kategorycznie, i ja również temu nie wierzę. Opinja taka mogła się ustalić z powodu nadmiernej żywości jej charakteru. Chciałbym się jednak upewnić, że niedowiarstwo moje co do tych plotek jest uzasadnione. Jurku, jesteś przystojnym mężczyzną, nie spotkałem jeszcze kobiety, którejbyś się nie podobał. Chcę przy twojej pomocy wypróbować moją narzeczoną. Gdy „Lisboa" odpłynie, pójdź do Dolores z ukłonem ode mnie i z bukietem kwiatów. Przez miesiąc mojej nieobecności staraj się usilnie o jej względy, ale... rozumiesz, Jurek, że nie możesz posunąć się za daleko—polegam na tobie, jako na najlepszym swym przyjacielu. Jeżeli Dolores pozostanie względem ciebie obojętna, to wyjdzie z próby zwycięsko, i palnę w pysk każdego, kto ośmieli się puszczać o niej te niecne plotki. No, i... ożenię się oczywiście.

Orecki spojrzał uważnie na Pawła.

— A gdyby... gdyby próba wypadła niepomyślnie?

Paweł spochmurniał.

— Ożenię się z nią mimo wszystko. Kocham ją zbyt silnie, bym mógł się jej wyrzec.

Przeraźliwy świst rozdarł upalną, leniwą ciszę tropikalnego dnia. „Lisboa" szykowała się do odpłynięcia.

Dłonie przyjaciół złączyły się w długi, serdeczny uścisk, przerywany rumorem łańcuchów kotwic „Lisboa", wyszarpywanych braszpilem z piasku dna Madeiry.

W godzinę potem sokoli wzrok Oreckiego ledwo już mógł dostrzec smugę dymu na widnokręgu, za którym znikł transatlantyk „Lisboa".

Rua Joao Tavira tonęła już w mroku szybko zapadającej nocy i rozbrzmiewała dźwiękami gitar i mandolin, gdy porucznik Orecki wyszedł z domku, spowitego w pnące się gałęzie wina, gdzie mieszkała narzeczona Pawła, signorita Dolores.

Na werandzie bielała jeszcze w ciemności jej suknia, i tęskny, melodyjny głos wabił zdaleka:

— Signor, o, piękny signor, przyjdź jeszcze jutro... Dolores będzie czekać...

Porucznik szedł, zwiesiwszy ponuro głowę, i nie słyszał miłosnych szeptów szumiących nad jego głową palm, puszczał mimo uszu cudne dźwięki pieśni zakochanych, rozbrzmiewających pod balkonami wśród czarownej gwiezdnej nocy Funchalu.

Przyszedłszy na pokład „Princessa Maria", Orecki długo chodził z kąta w kąt swojej kajuty, wzdychając i mrucząc przez zęby:

— Biedny Paweł... biedny poczciwy Paweł...

Nocy tej porucznik nie spał.

We wzburzonym umyśle Oreckiego przesuwały się wizje ważniejszych chwil życia, spędzonych z przyjacielem, powstawał plan uratowania Pawła z opresji, zamiar odciągnięcia przyjaciela od zdradzającej go kochanki. Wśród wspomnień wichrów, burz i niebezpieczeństw, przebytych z Pawłem, wśród powstających w duszy obrazów z lat dawnych powstawało w duszy Oreckiego postanowienie wyratowania przyjaciela ze szponów niecnej kobiety.

Z nastaniem dnia porucznik znów udał się na ulicę Joao Tavira, by upewnić się, że podejrzenia jego nie są bezpodstawne.

I gdy znów wieczorem wychodził z domku, spowitego gałęziami pnącego się wina, na werandzie nie bielała już jak dnia poprzedniego suknia Dolores. Obrażona w swej dumie pięknej kobiety Dolores łkała, leżąc na łóżku, a nad nią brzęczały struny gitary, trącane palcami jej kochanka, grubego Guilherma de Faria e Mayo da Cunha.

— No, i...

Paweł Łuszczyński pytająco i z niepokojem patrzył w oczy Oreckiego.

„Lisboa" przed chwilą dopiero zarzuciła kotwicę obok stojącej już pod parą „Princessa Maria".

— No, i... jakże Dolores? — głos Pawła drżał i załamywał się.

Porucznik Orecki spojrzał z pod krzaczastych brwi na przyjaciela.

— Pawle — rzekł głucho — pamiętasz, miesiąc temu staliśmy w tem samem miejscu, namawiałeś mnie na tę szaloną próbę i powtarzałeś ciągle: słuchaj, słuchaj uważnie. Teraz ty słuchaj uważnie i nie upuść ani jednego słowa z tego, co ci powiem; posyłając mnie na Rua Joao Tavira, przewidywałeś, że Dolores może pokochać mnie, ale nie pomyślałeś o tem, że i ja również mogę pokochać tę piekną, czarującą kobietę. Nie przewidziałeś tego, co się stało. Pokochałem twoją narzeczoną.

Porucznik Łuszczyński zbladł i zrobił krok naprzód.

— Nie rozumiem, nic nie rozumiem, prosiłem cię przecież, abyś nie posuwał się za daleko. Więc jakże? Zdradziłeś zaufanie moje? Odbiłeś mi ją?!

— Milcz, Pawle — rzekł spokojnie Orecki — nie odbiłem ci jej i nie zawiodłem twojego zaufania. Kocham ją jednak, i... i musimy się rozstać na zawsze.

Łuszczyński porwał Oreckiego za ramię i potrząsnął z wściekłością.

— Gadajże wyraźnie! — krzyknął zmienionym od gniewu głosem — „Nie zawiodłem zaufania", „kocham jednak"!" „musimy się rozstać!!" Co to wszystko znaczy?! Mówże z sensem! Objaśnij!

Orecki zdjął z ramienia rękę Łuszczyńskiego.

— Zaraz ci to objaśnię. Posłuchaj, Pawle: Kochamy jedną kobietę. Ty masz wzajemność, ja nie mam. Ty żenisz się z Dolores, ja nie. Czyż w tych warunkach możemy nadal utrzymywać ze sobą stosunki? Czyż przyjaźń nasza nie zmieniłaby się w nieprzyjaźń? Nie przypuszczasz przecie, że mógłbym lubić człowieka, o którym wiem, że utrzymuje stosunki miłosne z kobietą, którą kocham? W tych warunkach przyjaźń nasza nie przetrwałaby i godziny. Pocóż jednak mamy być wrogami? Rozstaniemy się przyjaciółmi, a ja postaram się nie myśleć o Dolores? Żegnaj, Pawle!

Orecki odwrócił się i odszedł.

Paweł pogonił za nim.

— Zaczekaj! Zaczekaj! — począł mówić przerywanym głosem — nie odchodź jeszcze. Mamy czas. Pomyślimy, jak załatwić tę sprawę. Pocóż się rozstawać na zawsze? Pomyśl — tyle lat jesteśmy przy-

jaciółmi! Tyle już smutnych i wesołych chwil ze sobą przeżyliśmy! I teraz raptem mamy się rozstać na zawsze? Jakże to?

Orecki zatrzymał się.

— Innego wyjścia niema, Pawle — rzekł łagodnie — drogi nasze rozchodzą się. Musimy się rozstać, chyba... chyba, że porzuciłbyś myśl małżeństwa z Dolores, i kobieta, którą kochamy obaj, byłaby niczyją. W tym tylko wypadku możemy być nadal przyjaciółmi. Ale wątpię, żebyś wolał mnie od Dolores. Wszak nie mam tak cudnych pachnących włosów, tak czarnych brwi i ognistych, przepaścistych oczu. Chociaż... gdybym był w twojem położeniu, zastanowiłbym się grubo, czy zamienić stałą, trwałą przyjaźń towarzysza lat dziecinnych na gorącą wprawdzie, lecz zmienną jak u wszystkich kobiet miłość czarnookiej Dolores. Przyjaźniliśmy się z sobą już od lat dziecinnych. Goniliśmy razem psy kamieniami w rynsztokach portowych, siedzieliśmy razem na ławie w szkole średniej, Pływaliśmy razem jako uczniowie szkoły morskiej na ćwiczebnym okręcie. Niejedną burzę, niejeden sztorm przeżyliśmy razem. Teraz brzmią jeszcze w uszach moich wycia wichru w tę noc, gdyś uratował mi życie na rei. I pamiętam ten jasny, słoneczny dzień, kiedy to wyrwałem cię z paszczy rekina przy brzegach wyspy Santa Maria. Pamiętasz, Pawle? Pamiętasz, jakeś przysięgał wówczas, że już nigdy w życiu nie rozstaniemy się ze sobą. Ale cóż znaczą przysięgi, co znaczą więzy przyjaźni wobec ognistego spojrzenia pięknej Dolores! Prawda, Pawełku?

Porucznik Łuszczyński usiadł na zwoju lin i ukrył

twarz w dłoniach. Pierś jego wstrząsało łkanie. A gdy Orecki położył mu rękę na ramieniu, Paweł podniósł na przyjaciela oczy, pełne łez, i rzekł przerywanym od płaczu głosem:

— Pal djabli Dolores! Nie rozstaniemy się nigdy! Wolę wiernego przyjaciela od niewiernej kochanki.

Porucznicy Jerzy Orecki i Paweł Łuszczyński pływają teraz razem na dwukominowym parowcu „Princessa Maria". Paweł pełni tam służbę oficera wachtowego na miejscu porucznika Oliveiry, który utopił się podczas burzy przy brzegach skalistej wyspy Deserto Grando.

I zawsze, gdy „Princessa Maria" w drodze z Europy do Ameryki mija wyspę Madeirę, przyjaciele stoją na pokładzie i, złączywszy dłonie w mocny, serdeczny uścisk, kierują wzrok na biały, w powodzi zieleni tonący Funchal, gdzie znajduje się mała, kręta uliczka Joao Tavira, i myślą o przyjaźni, która jest silniejsza i potężniejsza niż miłość.

SZLETERMAN

Mgła. Mgła wisi nad morzem Północnem. Jej gęste mętno-białe pasemka przenikają przez otwarty iluminator kajuty nawigacyjnej, wchodzą w krąg migotliwego światła małej lampy naftowej w kardonicznem zawieszeniu, przybierają żółtawy odcień i rozpełzają się po mrocznych kątach.

Nad rozłożoną mapą szczegółową *) i kartką papieru siedzi schylony oficer wachtowy. Głowę pochylił na piersi i ręką leniwie zapełnia papier obliczeniami kursu. Już drugą dobę statek płynie w gęstej mgle. Ani słońca w dzień, ani gwiazd w nocy. Brzegów nie widać. Sekstant bezsilny, pelengator **) nieużyteczny.

Już drugą dobę kapitan oznacza swoje położenie na mapie z pozycji zliczonej***).

Według obliczeń statek powinien się znajdować dwieście mil na wschód od północnych wybrzeży

*) Rodzaj mapy morskiej.

**) Przyrządy, służące do określania pozycji statku na morzu.

***) Pozycja zliczona — bardzo niedokładne oznaczenie pozycji statku.

Anglji. Tylko tyle. Na mapie, rozłożonej na stole, nie widać wyraźnych, prostych linij pelengów, które powiadają: ot tu na przecięciu znajduje się wasz statek. Przez cyfry oznaczeń głębokości przebiega jedna jedyna linja prawdopodobnego kursu. Gdzieś na tej linji znajduje się statek. Jakieś dwieście mil od północnych wybrzeży Anglji. Jeśli log *) nie zawodzi i dryf**) niezbyt wielki—to około dwustu mil.

Oficer wachtowy bierze ołówek i zaczyna obliczać.

A więc tak: Kurs — Süd West. Deklinacja — siedem i pół Ost. Dewiacja — pięć West. Całkowita poprawka zatem dwa i pół Ost.

Dobrze. Log wykazuje 600 mil. Zatem znajdujemy się od rodzimego portu 600 mil na Süd-West. Teraz dryf. Jakiż jest dryf?

Z górnego pomostu dolatuje żałosne wycie syreny, co pół minuty rozdzierające ciężką, martwą ciszę mglistej nocy. Oficer niecierpliwie porusza głową. Upiorne wycie syreny świdruje mu uszy już od czterdziestu ośmiu godzin. Ten ponury głos o niesamowitem brzmieniu przebija ciemność i mgłę, wdziera się do kajuty, wpada do ucha, wkrada się podstępnie do mózgu, rozprasza myśli, absorbuje je potem, targając i gniotąc swem ciężkiem, niskiem brzmieniem, zabija, niszczy. Twarz przybiera bolesny, znużony wyraz, oczy zwierają się do snu.

Oficer otwiera je przemocą, przysuwa mapę.

---

*) Log przyrząd do mierzenia szybkości i przebytej drogi statku.

**) Dryf — zbaczanie statku z drogi pod wpływem prądów, wiatrów i t. d.

Oblicza od początku.

A więc tak: Kurs — Süd-West. Deklinacja — siedem Ost. Dewiacja — pięć i pół West. Pięć i pół West? Głupstwo! Naodwrót: deklinacja — siedem i pół Ost, dewiacja — pięć West. Całkowita poprawka zatem dwa i pół Ost. Log wykazuje 600 mil. Teraz obliczyć jedynie dryf, a będziemy w przybliżeniu znać swoją pozycję. Do djabła! Znów ta syrena.

Po twarzy marynarza przebiega nerwowy grymas. Te ustawiczne wycia działają na nerwy. Hipnotyzują. Usypiają.

Jak tylko rozlegnie się ten przeklęty dźwięk, oczy się kleją, wszelkie rachunki i obliczenia idą do licha i trzeba zaczynać odnowa.

Oficer ściska ołówek w garści i zaczyna po raz trzeci: Kurs — Süd-West, wiem już o tem. Co dalej? Dalej dewiacja, pięć West. Deklinacja — siedem i pół Ost. Całkowita poprawka wobec powyższego dwa i pół Ost. Dwa i pół Ost. Dwa i pół Ost...

Uuuuuu.. u... uu... uuuuu...

— A żeby ją zatkało, tę cholerną syrenę — mruczy marynarz i, z wysiłkiem już broniąc się przed snem, wpija się oczami w cyfry obliczeń. — Dwa i pół Ost, zatem, dwa i pół...

— Poruczniku, panie poruczniku — oficer czuje, że na ramieniu jego spoczywa czyjaś dłoń.

— Poruczniku, panie poruczniku — ręka potrząsa go zlekka.

Porucznik odwraca głowę, i w oczach jego odmalowuje się bezgraniczne zdumienie.

W kręgu migotliwego światła lampy naftowej

stoi zupełnie obcy mu człowiek w mundurze kapitana marynarki.

Niebieskie oczy nieznajomego patrzą badawczo na oficera, blade wargi uśmiechają się łagodnie.

— Poruczniku — mówi cichym, przyjaznym głosem — daj pan spokój tym obliczeniom, zmień tylko kurs o jakieś dwa i pół stopnia.

Porucznik gwałtownie zrywa się z fotelu.

— Coś pan za jeden? Skąd się tu wziąłeś na statku? Co?!

Nieznajomy uśmiecha się spokojnie.

— Jestem kapitanem „Niobe"—odpowiada, spuszczając oczy przed wzrokiem porucznika.

Oficer marszczy brwi.

— Cóż pan kpiny sobie ze mnie robi!? „Niobe" zatonęła na tych wodach pięć lat temu wraz z całą załogą i kapitanem.

Kapitan robi nieokreślony ruch ręką.

— Pan pyta, ja odpowiadam. Zresztą, nie o to chodzi. Chodzi o kurs. Lepiej go zmienić, poruczniku. Jakieś dwa i pół stopnia, w prawo czy w lewo—to już wszystko jedno. Byle zmienić.

— Co pan mi tu za bzdury opowiada — irytuje się oficer — dlaczego mam zmieniać kurs? Potem wogóle, kto pan jesteś, u djabła? Mówi pan, że o to nie chodzi? Wprost przeciwnie, bardzo mi o to chodzi i bezwzględnie muszę wiedzieć, kim pan jesteś i skąd się tu wziąłeś na statku? Jestem na służbie i mam obowiązek spytać pana, kim pan jesteś?

Znów uśmiech występuje na twarz nieznajomego.

— Jestem kapitanem „Niobe"...

— Kapitanem „Niobe", który zatonął! Więc szleterman *) czy co, u licha?!

Uśmiech znikł z ust kapitana.

— Radzę zmienić kurs, poruczniku — rzekł, utkwiwszy badawczy wzrok w oczach oficera.

— Poco mam zmieniać kurs? Czy grozi jakie niebezpieczeństwo? Mielizna, skała podwodna? Spójrz pan na mapę, kapitanie. Tu jesteśmy. Tym kursem płyniemy. Wszędzie głębokość od piętnastu do dwudziestu sążni. Ani skał, ani mielizn. Niebezpieczeństw niema. Pocóż zmieniać kurs?

Kapitan obojętnie spojrzał na mapę.

— Ale zawsze lepiej zmienić kurs o jakie dwa i pół stopnia — powtórzył uparcie.

Porucznika ogarnął lęk. Przezwyciężywszy wysiłkiem woli strach, postąpił parę kroków naprzód i zajrzał zbliska w oczy nieznanemu.

— Na litość boską, panie kapitanie — odezwał się drżącym głosem — powiedz wreszcie, co to wszystko znaczy? Wszak wiem na pewno, że na statku prócz załogi niema żywej duszy, ja sam po odejściu z portu obchodziłem wszystkie pokłady i triumy, a pana nie widziałem. Skądże się pan tu wziął na pełnem morzu? Mundur pański jest suchy, nie jest więc pan rozbitkiem, który się wdrapał po jakiejś linie na nasz statek. Więc cóż to wszystko znaczy? Wytłumacz mi, kapitanie!

---

*) Szleterman—widmo morskie, ostrzegające załogi okrętów przed zgubą (wierzenia marynarzy).

Blade wargi nieznajomego wykrzywił dziwny uśmiech.

— Powtarzam, jestem kapitanem „Niobe"...

Oficer drgnął, ogarnięty przerażeniem, wydało się mu, że oczy kapitana zajarzyły się strasznym, niesamowitym blaskiem.

W mgnieniu oka świstawka znalazła się przy ustach porucznika.

Ruch ręki kapitana powstrzymał świst.

— Nie trzeba — rzekł powolnym, głuchym głosem — odchodzę, i nie zobaczymy się więcej nigdy, chyba, że kurs, jakim płynie statek, pozostanie bez zmiany...

Nieznajomy odwrócił się i skierował ku drzwiom kajuty. Chwila—i w kajucie nawigacyjnej został sam porucznik.

Jednym skokiem oficer znalazł się na pokładzie. Bystrem spojrzeniem rozejrzał się wokoło. Przy prawym baksztagu widniała jakaś ciemna sylwetka.

— Kto tu? — rzucił pytanie porucznik.

Milczenie. Oficer postąpił kilka kroków naprzód. W migotliwem świetle latarń okrętowych błysnęła lufa rewolweru. Ciemna postać drgnęła i zaczęła się oddalać ku burcie.

— Stój!—huknął oficer—stój, jeśli ci życie miłe!

— Radzę zmienić kurs o dwa i pół stopnia—doleciał z oddali przyciszony głos. Postać stanęła przy burcie.

Przeraźliwy świst rozdarł martwą ciszę mgły.

I gdy pierwszy ton zawibrował w powietrzu, tajemnicza postać znikła w ciemności. Gdzieś się rozpłynęła. Przepadła.

Nie wypuszczając świstawki z ust, porucznik podbiegł do burty. Nikogo. Wbił oczy w mrok nocy. Nic. Nad powierzchnią fal unoszą się tylko zwały gęstej, nawet w ciemności widocznej mgły.

Porucznik wytęża wzrok. Całą moc płuc dmie w gwizdawkę. Świst się potęguje, rośnie, zagłusza ciche gaworzenie fal, wibruje z każdą chwilą coraz mocniej grubieje, przechodzi w huczenie, w wycie okropne, aż rozbrzmiewa wyraźnie żałosnym jękiem syreny.

Raptownie wokoło oficera robi się jasno. Wytężony wzrok napotyka na jakieś cyfry, obliczenia. Porucznik widzi wyraźnie: $Cp = 2^1/_2{}^0$ Ost.

W uszach kona brzmiący przed chwilą przeraźliwy jęk syreny. Oficer rozgląda się wokoło, Kajuta nawigacyjna. Mała lampa naftowa rzuca na stół i mapę chwiejny, migotliwy blask.

Gdzie się podział pokład? Gdzie burta, za którą znikł nieznany kapitan?

Cisza. Poskrzypują zlekka kołysane ruchem statku obręcze Kardana, w których tkwi lampa. Nie. Nikogo niema.

Oficer zrywa się z fotelu i zdenerwowanym krokiem zaczyna mierzyć kajutę.

Cóż to? Sen czy jawa? Zbyt wyraźnie na sen, zbyt nieprawdopodobnie na jawę. Więc cóż to było? Co to za kapitan? Szleterman, widmo morskie, ostrzegające przed zgubą? Jakież niebezpieczeństwo grozi statkowi? Zmienić kurs o dwa i pół stopnie. Ten kurs prowadzi zatem ku niebezpieczeństwu?

Porucznik wychodzi na pokład. Przed kajutą spostrzega szkafutowego*).

---

*) Szkafutowy — służbowy marynarz na pokładzie

— Nie widziałeś nikogo obcego na pokładzie?

Szkafutowy patrzy zdziwionym wzrokiem.

— Nikogo, panie poruczniku.

— Co robi kapitan?

— Kapitan śpi, panie poruczniku.

Oficer idzie na bak*) i wzrokiem stara się przeniknąć mgłę i mrok.

Marynarski wzrok porucznika nic nie spostrzega na kursie. Żadnego niebezpieczeństwa. Ani świateł, ani ostrzegawczych sygnałów wyjących boj. Nic. Tylko fale szumią za burtą, równomiernie sapią maszyny i co pół minuty odzywa się jękliwy głos syreny.

Ostrzeżenia sennego widziadła nie dają jednak porucznikowi spokoju.

Po krótkiej walce wewnętrznej łagodne spojrzenie oczu szletermana zwycięża w marynarzu głos rozsądku, i porucznik idzie do steru.

— Kurs? — rzuca pytanie sternikowi.

— Dwieście dwadzieścia pięć stopni**)—brzmi odpowiedź.

— Steruj dwieście dwadzieścia siedem!

Mignęły szprychy koła sterowego.

— Jest! Dwieście dwadzieścia siedem!

Drgnęła róża kompasowa, i cyfra 227 zatrzymała się przy kresce kursowej.

Oficer odszedł od steru. Zbliżył się do burty, Oczy skierował na morze. Głowa w zamyśleniu schyliła się na piersi.

— Panie poruczniku!

---

*) Bak — przód okrętu.

**) Kierunek Süd—West (Południo—zachód).

Oficer drgnął i spojrzał poza siebie. Przed nim stał kapitan statku.

— Cóż słychać na wachcie, panie poruczniku?

Porucznik spuścił oczy.

— Zmieniłem kurs, panie komendancie. Dwieście dwadzieścia siedem.

— Jakto, pan zmienił kurs? Dwieście dwadzieścia siedem? Po djabła?!

— Na poprzednim kursie niebezpieczeństwo, panie komendancie.

— Niebezpieczeństwo? Na poprzednim kursie? Kto panu powiedział?

Porucznik milczał.

— No, gadajże pan! Jakie niebezpieczeństwo? Skąd? Jak? Dlaczego?

Oficer nie odpowiadał. Kapitan wzruszył ramionami i patrzył zdumiony na swego porucznika. Raptem drgnęli obydwaj. Szum jakiś niezwykły doleciał ich uszu z prawej strony statku. Szum fal, rozbijających się o coś. Rzucili się obaj do burty.

Sokole oczy wilków morskich przebiły ciemności i mgłę.

O parę metrów zaledwie od burty wynurzał się z fal dziób zatopionego okrętu. Fale z hukiem rozbijały się o niego, co chwila pokrywając pianą napis na burcie. Porucznik odcyfrował z trudem: „Niobe". ich statek szybko przepływał obok. Kilka obrotów potężnych śrub, i zatopiony kadłub okrętu znikł za rufą w mrokach nocy i mgły.

Kapitan i porucznik spojrzeli sobie w oczy.

— Wrak*) — rzekł komendant — nieoznaczony na mapie. Wrak. Gdyby nie zmienił pan kursu, wpakowalibyśmy się na niego, i niebawem w miejscu tem zamiast jednego byłyby dwa wraki. Jakżeż pan przeczuł, że na kursie jest wrak?

Porucznik milczał.

— W każdym bądź razie — rzekł kapitan — dziękuję panu za uratowanie załogi i statku. Uścisnął dłoń oficera i odszedł.

Porucznik wrócił do swoich obliczeń. Lampa naftowa rzuca migotliwe światło na mapę. Oficer siedzi nad kartką papieru i mruczy:

— Log wykazuje 635 mil. Dobrze. Dewiacja pięć West. Deklinacja......

Z pokładu co pół minuty dolatuje żałosne wycie syreny. Mgła, Statek płynie we mgle w nieznaną dal.

*) Wrak — zatopiony statek.

AWARJA SZKOLNEGO ŻAGLOWCA

Już o trzeciej godzinie po południu barometr zaczął spadać. Nikogo to wszakże nie niepokoiło, bo i wieści o tem chodziły tylko głuche, a dnia tego nikt z uczniów barometru nie widział na własne oczy. Barometr znajduje się w budce komendanta, a tam, jak wiadomo, dostęp ma tylko sam komendant i oficer wachtowy.

O ogromie nadchodzącego kataklizmu zdawać sobie zaczęto sprawę dopiero wtedy, gdy gruby stary bosman Horuta, pięćdziesiąt już pono lat szukający śmierci na morzach, wyszedłszy na wieść o spadku barometru na pokład i spojrzawszy na pozornie pogodne niebo i łagodne baranki fal, zwrócił się twarzą na zachód, trzykrotnie splunął i przeżegnał się.

— Co, bosmanku, sztorm odpędzasz, hę? — pytali starego wilka morskiego uczniowie.

— Idź ty, klupia—odburknął bosman niechętnie— nic ty nie rozumiesz, klupia.

Spojrzał swemi niebieskiemi, już mgłą starości powleczonemi oczyma na niebo, morze, maszty i, trząchnąwszy siwą głową, poszedł kiwającym się, kaczym krokiem do kubryku.

— Będzie chryja — powiedział do kolegów Aloszta, stary uczeń, który niejedną już daleką podróż odbył na „Sokole“ — jak bosmanek na wiatr pluje, a jest zły, zawsze jakaś cholera się zdarzy!

Tak, zanosiło się na poważną chryję.

O godzinie czwartej wywołano niespodzianie podwachtę na górę i zapędzono do brasów.

— Ster na burtę!

Wykonano zwrot, i „Sokół“ ku wielkiemu zdumieniu załogi poszedł w bejdewind, na Nord-West w kierunku wyspy Läso, którą minięto nie dalej jak cztery godziny temu.

Okręt płynął teraz kursem, który mógł zaprowadzić go wszędzie, tylko nie do portu ojczystego.

Wśród uczniów zapanowało rozgoryczenie. Obliczano, że za dwa dni „Sokół“ zakotwiczy się w rodzimym porcie i załoga po czteromiesięcznej, długiej, uciążliwej podróży wyjdzie nareszcie na ląd, odje się, odsapie i zapomni na jakieś pół roku aż do następnej podróży, jak smakuje solone mięso.

Teraz, masz tobie — zamiast na Süd-Ost, płyną na Nord-West.

A jak dobrze zapowiadał się koniec podróży: od La Manche całe morze Północne i Skagerak „Sokół“ przebył pod ciągłym fordewindem w pięć dni.

Są już w Kategacie, od Ojczyzny dzieli ich tylko Sund i te nędzne kilkaset mil Bałtyku i raptem... kurs Nord-West!

O godzinie piątej rozeszła się wieść, że nadeszły depesze radjowe o zbliżającym się potężnym sztormie z zachodu i że komendant postanowił ukryć się

przed huraganem za wysepką Läso, znajdującą się przy brzegach Norwegji.

Wiatr, już silny poprzednio, stężał, a fala się wzmogła.

Odczuć się dawało silniejsze nieco kołysanie.

W przedziale maszynowym rozległ się charakterystyczny syk.

Mechanicy grzeją motory — zdumiano się.

Wiadome było, że ropy, której masy całe zużyto podczas sztilu w zatoce Biskajskiej, wystarczyć może tylko na trzy dni.

Dziwne więc było, że komendant zdecydował się, nie zważając na brak paliwa, użyć słabych motorów przy tak silnym wietrze, rżnącym wprost w „zęby". W takich warunkach motory posuwać mogły statek z szybkością jednego węzła, nie więcej.

Ale komendant się śpieszył.

Depesze radjowe były coraz groźniejsze — straszna burza szalała już w Skageraku.

Wiatr wzmagał się coraz bardziej, i czasami siła ego dochodziła do 9.

W przeciągu pół godziny morze zmieniło się do niepoznania. Łagodne poprzednio fale zamieniły się w olbrzymie bałwany, pokryte pianą, z szumem złowrogim rozbijające się o burty „Sokoła". Siła wiatru zdecydowanie osiągnęła moc 9.

Zbędne żagle zwinięto już poprzednio, zostawiając tylko sztormowe, a teraz wobec coraz większego naporu wiatru wzięto jeszcze grot-unter-mars żagiel na gejtawy.

Motory pracowały z wysiłkiem, lecz były zbyt słabe, by sprostać wichurze.

„Sokół" nie robił nawet jednego węzła.

O godzinie ósmej, gdy służbę objęła druga wachta, burza rozszalała się na dobre.

Dziób okrętu wzlatywał co chwila do góry i opadał wdół, zanurzając się bugszprytem w pianie.

A gdy nawałnica osiągnęła siłę 10 i musiano zwinąć resztę sztormowych żagli, jasnem się stało, że „Sokół" nie dopłynie do zbawczej wyspy Läso.

Motory parły „całą naprzód", a nie robiono i ćwierć węzła.

Burza wzmagała się coraz bardziej, aż przeszła w sztorm.

Olbrzymie pieniste bałwany, rozbijając się o burty, przeskakiwać zaczęły przez pokład.

Marynarze, ubrani w nieprzemakalne płaszcze, wysokie gumowe buty i ziujdwestki, zataczali się w rytm wściekłych podrzutów tańczącego pokładu.

Przy kole sterowem pełniło służbę trzech uczni, gdyż ster, szarpany falami, wyrywał szprychy z rąk.

W ciemnym i ponurym międzypokładzie, w którym pozamykano luki i iluminatory, rozlokowani po różnych kątach leżeli uczniowie pierwszej i trzeciej wachty, z trwogą nasłuchując uderzeń dzwonu okrętowego, wybijającego godziny i półgodziny. Grymas krzywił twarze na wspomnienie, że wnet minie krótka chwila odpoczynku i trzeba będzie ubrać się w lepki nieprzemakalny płaszcz, wyleźć z względnie ciepłego i suchego międzypokładu na górę, na zimny, bryzgami fal naszpikowany wiatr.

Do końca drugiej wachty zostawało jeszcze półtorej godziny, gdy uniosły się zlekka drzwi grota lu-

ku i w międzypokład razem z wiatrem i bryzgami fal wdarł się ostry świst i słowa komendy:

— Podwachta na górę!

Powietrze zatrzęsło się od przekleństw i wymysłów, tłum marynarzy, przewracając się i zataczając, runął do grota luku i za chwilę stał już na pokładzie w dwuszeregu.

Starszy oficer wydał krótkie rozporządzenia. Całą podwachtę zapędzono do fortriumu wyciągać zapasowe kotwice, wachta zaś na sztagach zakładała bloki, by przy ich pomocy unieść ciężkie kotwice admiralicji na pokład.

Zarządzenie to wywołane zostało tem, że wiatr przeszedł w orkan, i okręt pomimo zajadłego charkotu motorów nie posuwał się już naprzód, a wprost przeciwnie był dryfowany w stronę wybrzeży Norwegji, gdzie błyskało światełko latarni morskiej, ostrzegające przed rozsianemi tam gęsto skałami.

W pół godziny po wywołaniu podwachty, gdy statek zdryfowało już trzy mile, zluzowano hamulce kotwiczne i ciężkie, tonny całe ważące żalastwa wypadły z kluz i zaryły się w piasek dna.

Jak struny wyprężyły się grube łańcuchy kotwiczne, Statek szarpnął się jak pies na uwięzi, ale przestał się cofać.

W kilka chwil jednak po zarzuceniu kotwic dał się słyszeć rumor w komorze łańcuchowej i charakterystyczny jazgot ogniw w kluzach. To nie wytrzymały hamulce kotwiczne i popuściły kilkadziesiąt metrów łańcucha.

— Panie kapitaaaanie! — rozległ się po pokładzie okrzyk komendanta, zwrócony do starszego oficera,

stojącego na baku przy windzie kotwicznej — popuścić po dwieście metrów łańcucha!

Hamulce zluzowano, z kluz błyskawicznie wysunął się żelazny wąż ogniw. Łańcuchy na chwilę zwolniły, w następnym momencie jednak naprężyły się jeszcze mocniej niż poprzednio i znów grozić zaczęły pęknięciem.

— Popuścić jeszcze! — krzyknął komendant.

Znów odprężenie i znów przeraźliwy jęk żelaza i bezsilnych wobec siły wichury hamulców.

Jasne się stawało, że albo łańcuchy kotwiczne nie wytrzymają naporu nawałnicy i pękną jak nitki, albo hamulce będą zbyt słabe i wypuszczą z komory cały łańcuch aż do ostatniego ogniwa.

Na kapitańskim mostku obok głównego kompasu stał komendant. Na twarzy tego boga na pokładzie okrętu osiadła ciemna chmura troski.

Swym doświadczonym morskim rozumem komendant zdawał sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa. Wiedział dobrze, że ropy do motorów jest niedużo, że niewiadomo, czy wystarczy jej do końca sztormu, a ucho jego wśród wycia wichury słyszało wyraźnie ponure chrzęsty łańcuchów, wyszarpywanych z kluz.

Położenie było rozpaczliwe. Jedyną nadzieję pokładał jeszcze komendant w dwóch zapasowych kotwicach admiralicji, które podwachta wyciągała teraz z triumu na pokład.

Gdy dzwon okrętowy wybił godzinę dziesiątą i nad rozszalałem morzem zapadła ciemna noc, w sytuacji zaszła nowa zmiana.

Wiatr zwiększył się dwukrotnie, i łańcuchy kot-

wiczne pomimo ustawicznego popuszczania wydawać zaczęły specjalny śpiewny dźwięk, z którego wprawne ucho marynarza poznaje, że ogniwa ich już nie wytrzymują napięcia i za chwilę pękną.

— Komendancie, łańcuchy pękają! — wrzasnął starszy oficer.

— Wypuścić cały zapas, prędzej, cholerrra! — jak grzmot runął rozkaz komendanta.

Nim jednak starszy oficer zdążył wykonać polecenie, nastąpił kryzys. Łańcuchy wprawdzie wytrzymały, ale statek, party niezwalczoną siłą wichury, wyszarpnął ciężkie kotwice z dna i, orając niemi po piasku, wlec zaczął za sobą.

Komendant zaciął usta. Zdawać się mu zaczęło, że już nadszedł koniec. Spojrzał zpodełba w stronę skalistego brzegu, o który uderzały olbrzymie góry wodne, rozbijając się w drobny pył i pianę.

„Sokoła“ dzieliło od nich nie więcej niż sześć mil, dryf wynosił pół węzła, a więc przy obecnym stanie rzeczy najwyżej za dwanaście godzin statek strzaska się o te skały.

Ręka komendanta spoczęła na rączce telegrafu. Dzwonek. W przedziale motorów powtórzył się sygnał:

— Całą naprzód!

Zacharkotały zajadle motory, ale śruby, wyskakując co chwila ponad fale z powodu kołysania niewiele dawały oporu wiatrowi.

Wówczas krótki gwizdek komendanta przywołał na mostek oficera wachtowego.

— Nadwachta na górę! — rzucił krótko — żeby

mi w pół godziny zapasowe kotwice były już za burtą.

Po chwili cała załoga, nie wyłączając kucharza i stewardów, wytężenie, upadając z wysiłku, pracowała nad zarzuceniem kotwic zapasowych.

Ciężkie jednak kotwice z trudem dawały się wyciągać. Grube, wielkie nadliny i perliny pękały co chwila, tak, że dopiero po trzech kwadransach jedna tylko kotwica zaryła się w dnie, z drugim końcem łańcucha, zaczepionym na potężnym knechcie przy burcie.

Statek tymczasem dryfowało coraz więcej do grożących zgubą skał; zostawało jeszcze zaledwie pięć mil.

Gdy minęła godzina, a druga kotwica nie była jeszcze zarzucona, do pracujących do upadłego uczniów podszedł komendant.

— Cóż to, bydlęta?! — ryknął, głusząc grzmoty fal, przewalających się przez pokład — godzina minęła, a kotwica jeszcze nie zarzucona? Pracować nie umiecie! Mało was uczono? Sukinssssyny!

— Liny pękają, panie komendancie — zameldował Aloszta — nic nie można zrobić!

Ogłuszający cios pięści komendanta powalił mówiącego na zlany wodą pokład.

— Milczeć! — zagrzmiał komendant.

I zwracając się do reszty, zasyczał przez ściśnięte zęby:

— Jeśli za kwadrans robota nie będzie skończona, bić będę po mordach! Zrozumiano?! Sukinsssyny!

Wykręcił się na pięcie i odszedł.

Uczniowie stanęli, strwożeni i zdumieni.

Po raz pierwszy widzieli komendanta w takim gniewie.

Nigdy komendant nie podnosił ręki na uczniów, nigdy nie lżył.

Położenie musiało być naprawdę groźne, skoro komendant na tyle stracił panowanie nad sobą. Twarze zlekka pobladły, oczy opuściły się wdół.

Do tej chwili uczniowie nie zdawali jeszcze sobie dokładnie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa. Każdy z nich wiedział, że ropy brak, że kotwice nie trzymają, ale polegał jednak na komendancie, wierzył święcie w jego doświadczenie marynarskie, w pewność siebie tego wszechwładcy okrętowego, i ani przez myśl nikomu nie przeszło, żeby ich jedyny na pokładzie poza Bogiem opiekun mógł być zwyciężony żywiołem.

Jakto? On, ten nieugięty, stalowy człowiek, z którym tyle już sztormów i burz przeszli na oceanie, który najgwałtowniejsze szkwały, grożące połamaniem masztów, przyjmował z uśmiechem, on, który już tyle miał okrętów pod swemi rozkazami, tyle razy wywiódł już „Sokoła" z oka cyklonu, on, uosobienie odwagi i zimnej krwi, miałby ulęknąć się i stanąć bezradnym wobec skał Norwegji? Niemożliwe!

A jednak tak było. Popełniony tylko co brutalny czyn komendanta wskazywał wyraźnie na ciężki stan jego duszy.

Położenie statku było beznadziejne. Myśl ta wyprowadzała wilka morskiego z równowagi.

Gdy kotwice zaczęły orać dno, komendant miał jeszcze nadzieję na ratunek, ale gdy trzecia wyrzucona kotwica nie zmniejszyła dryfu, zrozumiał, że

czwarta też nie pomoże i że jest bezradny wobec żywiołu. W duszy ciężko legła mu myśl o odpowiedzialności, jaka ciąży na nim za życie powierzonej mu załogi.

Po dwudziestu minutach nadludzkich wysiłków czwarta kotwica ugrzęzła w dnie.

Zbiorowa siła wszystkich ośmiu łap kotwic zatrzymała statek na krótko w miejscu.

W tejże samej chwili jednak, gdy uczeń nawigacyjny meldował komendantowi, że kotwice trzymają i dryf równa się zeru, wicher, który zacichł na moment, runął na statek z podwójną, niebywałą wprost siłą. Nieprawdopodobnie potężny pęd powietrza zahuczał głucho w wantach i olinowaniu, stengi zgięły się jak wątłe trzciny. Statek drgnął i gwałtownie pochylił się na bok. Całe tonny wody runęły na pokład.

— Popuścić łańcuchy! Popuścić! Prędzej! Prędzej! Dranie! Sobacze syny! Prędzej! Prędzej! — ryczał komendant oszalałym z wściekłości głosem, z wysiłkiem trzymając się poręczy kapitańskiego mostku, przez który przewalały się olbrzymie grzywiaste bałwany.

Na baku zbity falą z nóg starszy oficer sięgnął ręką do drąga hamulca, ale w tej samej chwili w powietrzu rozległ się straszny brzęk, jazgot i świst.

Na bak runęły masy żelastwa. Pękł łańcuch bakburt kotwicy.

Olbrzymi bałwan, uderzywszy zprzodu w dziób „Sokoła", uniósł go wgórę i szarpnął wtył.

Wślad za tem nastąpił drugi, jeszcze silniejszy niż poprzednio trzask, i łańcuchy kotwic patentowanej i zapasowej zwisły urwane z kluz.

W tejże samej chwili statek z zastraszającą szybkością zaczęło dryfować w stronę złowrogich skał.

Na pokładzie zapanowała martwa cisza.

„Sokół“ był zgubiony bez ratunku.

Olbrzymie bałwany unosiły okręt wgórę, rzucały wdół, zalewając co chwila jego pokład potokami wody, zbijającej wszystko napotkane na drodze z nóg.

Załoga stała bezradna, trzymając się kurczowo przeciągniętych przez pokład sztormowych lin.

Gdy tak wszyscy trwali bez ruchu, rozległ się dźwięk dzwonu okrętowego, na którym szkafutowy wybił północ.

Dźwięk ten wrócił załodze przytomność.

— Do szalup! — ryknął ktoś z tłumu uczniów, zbitych pod przedniemi rostrami.

Tłum drgnął, chwilę się wahał, a następnie runął na rostry do szalup.

Zapanował hałas i harmider.

Zbijani falami z nóg marynarze pchali się kupą do szalup. Rozpoczęły się bójki o miejsca. W ciemnościach zamigotały noże. Rozległy się krzyki i jęki rannych.

Garstka silniejszych opanowała kuter i zaczęła go spuszczać na wodę. Nikt jednak nie chciał czekać, aż kuter zostanie spuszczony, i do zawieszonego jeszcze na linach zwaliła się zbita kupa ludzkich ciał.

Liny nie wytrzymały i pękły. Kuter wraz ze znajdującymi się w nim ludźmi znikł w kipiących odmętach.

Przerażona reszta marynarzy stanęła w niepewności.

Wówczas na rostrach zjawił się komendant. Spokojnym wzrokiem powiódł po twarzach.

— Spokój, chłopcy!—krzyknął—nie róbcie głupstw! Nikt w takim sztormie nie uratuje się na szalupie, Zejść z rostrów! Zbiórka przy grota luku. No, już! Marsz!

Chwilę trwało wahanie, aż jeden po drugim uczniowie zaczęli zeskakiwać z rostrów i ustawiać się w dwuszeregu na śródokręciu.

Komendant wstąpił na grota luk, przy boku jego znajdował się starszy oficer, kierownik naukowy i trzech oficerów wachtowych.

Komendant zwrócił się do załogi:

— Wszystko, co należało zrobić, zostało zrobione. Pracy już niema. Jedynie telegrafista spełnia jeszcze swój obowiązek. Na pokładzie zostaje tylko służbowa wachta. Reszta do międzypokładu. Kiedy zajdzie potrzeba, wezwę was na górę. Rozumiecie? Gdy trzeba już będzie wyjść na pokład, zawołam was. Rozejść się!

Dwie wolne wachty zeszły do międzypokładu.

Każdy z tych ludzi, skazanych na śmierć, zapadł w odrętwienie. Nie słychać było zwykłych przekleństw ni śmiechu.

W martwej ciszy międzypokładu słychać było wyraźnie wycie wichru na górze i huk fal, rozbijających się o burtę „Sokoła".

„Gdy trzeba już będzie wyjść na górę, wezwę was"—brzmiały w uszach marynarzy słowa komendanta.

Niebawem też „zaszła potrzeba".

O godzinie pierwszej w nocy nastąpiło uderzenie.

Do brzegu zostawało jeszcze pół mili, gdy rufa „Sokoła", uniesiona falą do góry, trzasnęła, opadając, o skałę podwodną.

Strumienie spienionej morskiej wody wdarły się do kajut oficerskich.

Na nic się nie zdały wodoszczelne przegrody, gdyż drugie uderzenie rozdarło dno fortriumu.

Razem z trzaskiem łamanych szpant rozległ się w międzypokładzie gwizdek i drżący głos oficera wachtowego:

— Załoga na górę!

Powoli, bez pośpiechu wyszli uczniowie na pokład.

Stanęli w dwuszeregu. Na grota luku stał już komendant.

— Baczność!

Marynarze wyprężyli się, nie spuszczając oczu z komendanta.

— Oficerowie do swoich wacht!—skomenderował starszy oficer.

Komendant zwrócił się do załogi:

— Chłopcy! Wezwałem was na górę, żeby podziękować za gorliwość w służbie.

Żeby wyrazić wam moje uznanie za wasze wysiłki w walce ze sztormem.

Pracowaliście dobrze. Nie mam wam nic do zarzucenia.

Nie naszą jest winą, że żywioł jest silniejszy od nas.

Robiliśmy, co mogliśmy. Wy i ja. Dziękuję wam, chłopcy!

A teraz, gdy się rozstajemy, jak zawsze wam mówiłem, tak mówię i teraz: dowidzenia, załoga!

— Dowidzenia, panie komendancie!—runął grzmot odpowiedzi.

Komendant zasalutował.

— Dowidzenia, tam—dodał, wskazując wygwieżdżone niebo.

„Sokół“ tymczasem zaczął się pogrążać.

Przez pokład swobodnie przewalały się fale.

Komendat zwrócił jeszcze się raz do załogi:

— Czapki zdejm! Pomódlcie się Bogu, chłopcy. Po raz ostatni.

Wszyscy uklękli. Na grota luku stał tylko z odkrytą głową komendant i pocichu odmawiał modlitwę.

— Po modlitwie!

Wszyscy zerwali się na nogi.

Uderzony olbrzymią falą „Sokół“ pochylił się na bok i już się więcej nie podniósł.

Zbity wał ciał ludzkich runął, przewrócony uderzeniem, na burtę.

Na nogach stał jedynie komendant.

— Żegnajcie, chłopcy!—zawołał jeszcze.

Następny bałwan przewrócił okręt zupełnie.

Rufa zanurzyła się w wodzie, dziób wychynął do góry, i przetrwawszy chwilę w takiej pozycji, statek szybko pogrążył się w toń.

Na powierzchni zostało zaledwie kilka szamocących się z falami ciał.

Po chwili jednak znikły i one.

W miejscu, gdzie przedtem walczył ze sztormem „Sokół“, szumiały tylko ponure fale, rozbijając się z hukiem o skały.

KONIEC.

Komplet 17 **W. Jagniątkowski** — W legji cudzoziemskiej
„ „ **B. Adamowicz** — Triumf żółtych
„ „ **K. Junosza** — Na bruku
„ 18 **Wiktor Hugo** — Nędznicy 3 tomy (I—II—III)
„ 19 „ „ — Nędznicy 3 tomy (IV—V—VI)
„ 20 „ „ — Nędznicy t. VII i VIII oraz **E. Zola:** Marzenie
„ 21 **Józef I. Kraszewski** — Chata za wsią oraz **P. Choynowski:** Kij w mrowisku
„ 22 **M. Szczedryn** — Judaszek oraz **A. Puszkin:** Czarny Orzeł i Dama Pikowa
„ 23 **A. Bennett** — Anna z pięciu miast, Rozrywki Miljonera
„ 24 **H. G. Wells** — Niewidzialny, Wehikuł czasu, Kraina Ślepców
„ 25 **H. Rosny** — Walka o ogień, Lot w nieskończoność

Każdy tom oprawny w płótno, ze złotemi artystycznemi ozdobami na okładce i grzbiecie książki, zawiera 480—600 stron druku.

Cena księgarska—Zł. 4.50, dla prenumeratorów—Zł. 3.35,

(Koszty przesyłki od tomu gr. 50).

Opłacać można przez **P. K. O. № 11140, markami pocztowemi,** przekazami lub za zaliczeniem przy zadatkowaniu 1/4 należności markami pocztowemi.

A) Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego **BIBLJOTEKA GROSZOWA.**

Należność, z przesyłką pocztową; z dodatkami dla młodzieży oraz z magazynem nHP:	
Za kwartał . . . . **zł. 9 gr. 95**	Wiersz niepotrzebny przekreślić
„ „ w oprawie **zł. 13 gr. 95**	
jednocześnie przesyłam przekazem (P. K. O. **11.140**).	
Proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem, z doliczeniem kosztów zaliczenia.	

B) Upraszam o zapisanie mnie na listę prenumeratorów kwartalnych „SYGNAŁY CZASU", począwszy od dnia .... 192........roku.

Należność z przesyłką za kwartał: Wiersze niepotrzebne bezwarunkowo wykreślić	
	zł. 10.50 za 3 książki w broszurze
	zł. 13.50 za 3 książki w oprawie
	Jednocześnie wpłacam na konto w P. K. O. WPanów Nr. 11140.
	proszę pobrać za zaliczeniem przy pierwszej przesyłce z doliczeniem kosztów zaliczenia.

Imię i nazwisko ....
(czytelne)

Dokładny adres: ....

Poczta: ....

Zamówienie

Do

Bibljoteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.

Printed in Poland.